



Fiona Harper



Ogród nadziei

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Will zahamował i wyskoczył z samochodu. Nie zamykając drzwi, postąpił kilka kroków, obejmując wzrokiem wyrastające ponad zasłonę drzew kominy i wieżyczki Elmhurst Hall.

Promienie chylącego się ku zachodowi słońca barwiły złotem ściany zbudowanej z białego piaskowca starej siedziby. Will czekał na ten moment od miesiąca, od dnia, w którym otrzymał oficjalne pismo z kancelarii adwokackiej. Jego zaś rodzina czekała na tę chwilę od trzech pokoleń. Jeżeli jednak jego plan się nie powiedzie, będzie to cios, po którym jego najbliżsi nie podźwigną się pewnie przez trzy kolejne pokolenia.

Wróciwszy do samochodu, zerknął na leżącą na siedzeniu pasażera ulotkę reklamową, w której Elmhurst Hall nazwano „cudem z bajki”.

Jeszcze raz przyjrzał się imponującemu domostwu, które, choć istotnie zachwycające, nie było tworem wyobraźni, lecz czymś jak najbardziej realnym.

I stanowi teraz jego własność.

Uruchomiwszy ponownie samochód, ruszył przed siebie wiejską drogą. Zatrzymał się przed zamkniętą na cztery spusty wysoką żelazną bramą. Ma ona zapewne bronić wstępu takim jak on prostakom. Uśmiechnął się w duchu.

Dzisiaj jednak wszystko należy do niego i cała rodzina Radcliffe'ów nie na to nie poradzi.

Z bliska budowla przedstawiała się znacznie mniej imponująco. Pordzewiałe rynny i osypujące się rzeźby wokół okien i odrzwi nadawały pałacowi wygląd steranej życiem piękności, która mimo wieku zachowała ślady dawnej urody.

Czy to nie ironia, że to właśnie potomek potępionego przez rodzinę wyrzutka ma wszystkie dane po temu, aby przywrócić starej damie utraconą świetność? Widać było gołym okiem, iż zmarłemu niedawno lordowi Radcliffe'owi brakowało środków, a może i chęci na to, by tego dokonać.

Willowi zdarzało się restaurować budowle w znacznie gorszym stanie. Pod jego ręką odzyskiwały one wszystkie swoje wdzięki. Był mistrzem w swym zawodzie.

Skręcił w wąską aleję prowadzącą na lewo od bramy i po paru minutach dotarł do opustoszałego parkingu dla zwiedzających.

Droga do pałacu wiodła przez rozległy ogród. Will zerknął na zegarek. Pan Barrett oczekuje go o czwartej, a więc za pięć minut. Trzeba się pospieszyć. Otworzywszy bez trudu zardzewiałą furtkę, znalazł się w ogrodzie, który, ku jego zaskoczeniu, nie tworzył otwartej przestrzeni. Gęste cisowe żywopłoty dzieliły go na mniejsze części.

Przez dobre pięć minut błąkał się bezradnie w labiryncie żywopłotów. Stał na chwilę, zastanawiając się, którądy iść, kiedy nagle tuż przed nim z zarośli wypadła na ścieżkę mała skrzydlata istota. Willa zamurowało. Posiadłość reklamowano wprawdzie jako zjawisko z bajki, ale elf to chyba już przesada.

Zanim zdążył się opamiętać, w ślad za pierwszą na ścieżkę wypadła z gęstwiny druga bajecznie kolorowa istota. Obie zaniósły się perlistym śmiechem, który jednak zamarł nagle, gdy zobaczyły, że nie są same. Will poczuł na sobie przenikliwe spojrzenie dwu par szelmowsko patrzących oczu.

Milczenie przerwała mniejsza z istot.

- Kim pan jest? - zapytała.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dziewczynka ma przypięte na plecach skrzydełka ze sztywnej różowej siatki.

- Mam na imię Will - odparł.

- A ja Harriet - odparła mała, wyciągając do niego w powitalnym geście rączkę w różowej rękawiczce, a Will odruchowo ją uściskał.

Nie potrafił określić wieku dziewczynki. Mówiła wyraźnie, bez dziecinnego seplenienia, więc prawdopodobnie musi mieć więcej niż trzy lata. Ale chyba mniej niż siedem. Nie bardzo wiedział, dlaczego stara się ustalić jej wiek - chyba po to, żeby w tej surrealistycznej sytuacji uchwycić się jakiegoś konkretnego.

- Mówiłam ci, Hattie, żebyś nie rozmawiała z obcymi bez mojego pozwolenia.

Sadząc po głosie, druga z istot była niewątpliwie starsza. Will nie mógł się jednak bliżej jej przyjrzeć, ponieważ jego uwagę przykuło niesamowicie intensywne spojrzenie młodszej dziewczynki.

Mała nie objawiała ani śladu dziecinnego zażenowania. Patrzyła mu śmiało w oczy, z zaciekawieniem, a nawet z odcieniem wyniosłości. Po dłuższej chwili z widocznym zadowoleniem skinęła główką.

To dziwne, pomyślał. Dzieci zwykle omijały go z daleka.

Czuł się przy nich nieswojo, nie umiał z nimi rozmawiać. Ale małemu elfowi widocznie to nie przeszkadzało.

Tymczasem starsza istota zdążyła już otrzepać się z kurzu. Will spojrzał na nią, ale choć nie miał już wątpliwości, że nie jest elfem, to jednak nadal nie potrafił z niczym jej skojarzyć.

- Do kwietnia Elmhurst Hall jest zamknięte dla zwiedzających w czwartki i piątki - oświadczyła. - Jak pan tutaj wszedł?

- Przez furtkę - odparł, spoglądając za siebie. - Jestem umówiony z panem Barrettem. - Jeśli dobrze zrozumiał, Barrett był kimś w rodzaju kamerdy-

nera. Kto by pomyślał, że w dzisiejszych czasach można jeszcze spotkać prawdziwego kamerdynera.

- W takim razie proszę za mną - powiedziała starsza istota, biorąc Hattie za rękę. - Ta część ogrodów jest podzielona żywopłotami na osobne części, które ogrodnik nazywa „komnatami”. Łatwo można się zgubić.

Hattie szła teraz obok starszej istoty płci żeńskiej, która, jak zaczął podejrzewać, nie była jej siostrą, ale raczej opiekunką. Miała na głowie wielobarwną czapkę naciągniętą na uszy, z dwoma dziwnymi jaskraworóżowymi chwastami po obu stronach twarzy, a do tego dzinsową kurtkę i wysokie gumowe buty.

Gdy dotarli do otwartej części ogrodu, przed oczami Willa otworzył się widok na Elmhurst Hall od tyłu. Znał się wystarczająco na architekturze, aby wiedzieć, iż budowla składa się z części pochodzących z różnych epok, budowanych w różnym stylu. Część frontowa musiała powstać stosunkowo późno, a to, co teraz widział, mogło pochodzić nawet z XVI wieku.

Jego rozmyślania przerwał dziecięcy głosik.

- Chodź tędy, Will - rzekła Hattie, biorąc go za rękę i pociągając w kierunku ogromnych drewnianych wrót.

Weszli do sklepionej sieni. Opiekunka stała na pierwszym stopniu schodów.

- Co wy tutaj robicie, Hattie, skoro zwiedzający nie mają dzisiaj wstępu?
- zapytał.

- Bawimy się w księżniczki i trolle - wyjaśniła dziewczynka. - Ja jestem księżniczką, a mama trollem.

Ona jest jej matką? Przyjrzał się bliżej idącej przed nim po schodach starszej istocie, która wyglądała najwyżej na dwadzieścia lat. Może to kwestia wzrostu i budowy? Nie mogła mieć więcej jak metr pięćdziesiąt pięć i była bardzo drobna.

Kobieta niemal rozkazującym gestem wyciągnęła rękę do córki, która posłusznie puściła jego dłoń i podeszła do wyraźnie mniej przyjaźnie nastawionej matki. Była nachmurzona, prawie się do niego nie odzywała i nie patrzyła mu w oczy.

Znaleźli się w części domu, która dawniej była pewnie przeznaczona dla służby. Hattie znikła w bocznych drzwiach, a kobieta odwróciła się w jego stronę.

- Co tutaj robicie? - powtórzył Will.

- Tak jak powiedziała Hattie, bawiłyśmy się. Trudno o lepsze miejsce do zabaw rozwijających wyobraźnię.

No dobrze, ale to jeszcze nie znaczy, że wolno wchodzić bez pozwolenia na cudzy teren.

- Ma pani zgodę właściciela?

- Tak. Ja tu pracuję. I mieszkam. To mi daje dodatkowy przywilej korzystania z parku i ogrodów.

Ach, więc to tak. Więcej dowie się później.

Kobieta wskazała mu otwarte drzwi, za którymi zaczynał się kolejny korytarz.

- Powodzenia - rzekła chłodno. - Nie pan pierwszy zjawia się tutaj w eleganckim garniturze. Ale traci pan czas. Kiedy zmarł lord Radcliffe... - Urwała, a jej spojrzenie złagodniało. - Podejrzewam, że odejdzie pan z pustymi rękami. Z majątku zostały głównie długi.

Dopiero teraz mógł się jej dokładniej przyjrzeć. Ze swymi wielkimi oczami osadzonymi w delikatnej twarzy chochlika mogła rzeczywiście uchodzić za leśnego duszka. Tylko butnie podniesiony podbródek do pewnego stopnia zmieniał to wrażenie.

- Dziękuję za dobrą radę.

- Mam na imię Josie i zajmuję się...

Reszty nie dosłyszał, ponieważ w tym momencie zdjęła z głowy barwną czapkę i okazało się, że to, co brał za frędzle czy chwasty, to były jej własne, zaplecione nad uszami warkoczyki.

Kobieta miała włosy ufarbowane na kolor fuksji, a jej mina pozwalała się domyślać, że wprowadzenie go w stan osłupienia sprawiło jej niekłamaną satysfakcję.

No, no, jeszcze zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni, pomyślał Will, mierząc Josie niechętnym spojrzeniem.

Kroki idącego za nią nieznanego odbijały się echem od kamiennych ścian wąskiego korytarza. Josie zatrzymała się i zapukała do niskich drzwi. Will musiał się mocno pochylić, by nie rąbnąć głową we framugę.

Oznajmiwszy Barrettowi, że ma gościa, zamknęła za Willem drzwi. Nie była ciekawa ich rozmowy. Nie chciała psuć sobie humoru.

Harry Radcliffe był najpocziwszym i najbardziej uroczym starszym panem, jakiego znała, ale kompletnie nie umiał gospodarować pieniędzmi. Od sześciu lat, odkąd zaczęła u niego pracować, podejrzewała, że jego finanse są w opłakanym stanie, a gdy umarł, jej podejrzania w pełni się potwierdziły.

Harry obiecał kiedyś, że zapisze jej domek na terenie posiadłości, w którym mieszkała, niestety w bałaganie papierów odnalezionych po jego śmierci nie było niczego, co można by uznać za testament.

Są więc, ona i Hattie, zdane na łaskę i niełaskę nowego właściciela, który razem z posiadłością odziedziczył pokaźne długi Harry'ego. Trudno oczekiwać, aby w tej sytuacji chciał honorować inne jego zobowiązania.

Skromna pensja za prowadzenie herbaciarni zaledwie wystarczała Josie na bieżące wydatki. Gdyby doszedł do nich czynsz za mieszkanie, nie byłoby jej stać na dodatkowe zajęcia Hattie, w tym na jej ukochane lekcje baletu.

Takie smętne myśli towarzyszyły Josie w drodze do kuchni, gdzie miała nadzieję odnaleźć córeczkę. Osobiście nie rozumiała, dlaczego jej córka uwielbia wykonywać sztuczne baletowe figury, jej zdaniem stanowiące zaprzeczenie wolności i spontaniczności. No i te koszmarne baletowe pantofelki!

Jednakże Hattie najwidoczniej lubiła się umartwiać, a Josie uważała, że rodzice są od tego, by umożliwiać dzieciom rozwijanie pasji i upodobań. Nie zamierzała narzucać córce swoich gustów.

Tak jak przewidywała, Hattie siedziała przy kuchennym stole, spoglądając z nadzieją w oczach na kucharkę, panią Barrett. O ile jej mąż reagował wyłącznie, gdy zwracano się do niego per „Barrett”, o tyle jego żona udawała, że nie słyszy, jeżeli ktokolwiek zwrócił do niej inaczej niż „Kucharka”.

- To co zwykle, panno Hattie?

Josie uśmiechnęła się do siebie. Było to ulubione przedstawienie odgrywane przez panią Barrett i Hattie, które pozwalało tej pierwszej powracać do dawnych dobrych czasów, kiedy to wierna kucharka królowała wśród licznej służby, prowadząc wielki dom i dbając o swoich domowników.

A Hattie? Chyba, jak wiele małych dziewczynek, lubiła widzieć siebie w roli Kopciuszka albo zamkniętej w zaczarowanym zamku Śpiącej Królowny.

- Tak, Kucharko, bardzo proszę - odparła Hattie, przybierając stosownie wdzięczną pozę małej dziedziczki.

- Czy mogę zaproponować panience kawałek świeżo upieczonego piernika?

Mała przechyliła główkę, udając głębokie zastanowienie, a Josie na ten widok o mało nie parsknęła śmiechem.

- Tak, myślę, że bardzo chętnie zjem kawałek piernika.

Pani B. skinęła głową, po czym napełniła sokiem pomarańczowym delikatną porcelanową filiżankę zarezerwowaną dla Hattie, a na talerzyku położyła kawałek ciasta.

- Jak się pani miewa, pani B.? - powiedziała Josie, podchodząc do córki i mierzwiąc jej włosy.

Mała skrzywiła się, po czym godnym ruchem przyglądała swą fryzurę.

- Witaj, kochaniutka - zwróciła się do Josie kucharka. - Jak się udało polowanie na trolle?

- Tak sobie. - Josie opadła na krzesło, a pani Barrett postawiła przed nią kubek świeżej herbaty.

- Spotkałyśmy w ogrodzie nieznanego pana - pospieszyła z wyjaśnieniem Hattie. - Nazywa się Will i bardzo lubi leśne skrzaty.

- Zaprowadziłam go do Barretta - dodała Josie. - Chyba niewiele mu z tego przyjdzie, w każdym razie dopóki nie odnajdą nowego właściciela. Ale nawet wtedy nieprędko doczeka się jakichś pieniędzy.

Pani Barrett umieściła swe obfite kształty na krzeselku po drugiej stronie stołu.

- Barrett mówił mi, że już go znaleźli. Podobno pracował gdzieś za granicą. Jest wnukiem brata lorda Radcliffe'a. Ma się pojawić już w tym tygodniu. Barrett zwołał na wpół do piątej specjalne spotkanie całej służby. Zajmę się przez ten czas Hattie.

Josie upiła łyk herbaty.

- A ja myślałam, że Edward Radcliffe nie miał syna, tylko same córki.

- Nie, kochana, Edward był najmłodszym bratem lorda Radcliffe'a. Dziadek nowego lorda musiał być chyba środkowym bratem lorda Radcliffe'a.

- Nie miałam pojęcia, że był trzeci brat. W genealogii rodziny nie widziałam o nim żadnej wzmianki.

- Nic dziwnego - prychnęła pani Barrett. - To stare dzieje, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie. Nastąpiło wielkie rodzinne nieporozumienie i ojciec Harry'ego wydziedziczył średniego syna. Cała rodzina się go wyrzekła. Człowiek pracujący na zlecenie adwokatów odkrył, że po tym, jak wykluczono go z rodziny, zmienił nazwisko. Dlatego wytropienie go zajęło tyle czasu.

- Czarna owca, no, no - mruknęła Josie. Pani Barrett udała, że nie słyszy.

- Pospiesz się, bo spóźnisz się na zebranie - powiedziała, zmieniając temat.

- Nie pali się. Zdążę spokojnie dopić herbatę.

A więc posiadłość przeszła w ręce rodzinnego wyrzutka, który pewnie zaprowadzi nowe porządki. Josie zadumała się. Choć zdawała sobie sprawę, że Elmhurst Hall popadło w ruinę i potrzebuje silnej ręki, nie podobała jej się myśl, że jakiś obcy człowiek spróbuje dokonać przewrotu w miejscu, które przywykła uważać za swoje terytorium. Gdyby miało dojść do rewolucji, wolałaby sama stanąć na jej czele.

Czuła się okropnie głupio, wracając ze specjalnego spotkania ze służbą. Nie pozwoliła, rzecz jasna, aby ten Will Jak-mu-tam domyślił się, iż wie, że zrobiła z siebie idiotkę. Jak śmiał pojawić się, jakby nigdy nic? Kiedy wcale się go nie spodziewała? To wyłącznie jego wina, jeżeli nie najlepiej go w tych okolicznościach przyjęła. Dlaczego jej się nie przedstawił?

Przyszedł poniedziałek, a ona nadal nie mogła się pogodzić z nową sytuacją.

- Co to za facet? Po piątkowym zebraniu znikł i nie pojawił się przez cały weekend - powiedziała rozdrażniona do pani Barrett, która pomagała jej rozstawić w herbaciarni tace.

Pani Barrett westchnęła, nie przerywając krojenia ciasta marchewkowego. Jej wypieki cieszyły się wśród gości herbaciarni niezmiennym powodzeniem.

- Podobno prowadzi jakieś przedsiębiorstwo, które nawet dobrze prosperuje.

- Nie wiesz, co to za przedsiębiorstwo?

- Nie wiem dokładnie, coś związanego ze starymi budynkami - odparła pani Barrett.

Nie było sensu dalej ciągnąć starszej kobiety za język. Dla lojalnej kucharki lord Radcliffe był lordem Radcliffe'em, i kropka.

Stare budynki. To może znaczyć wiele różnych rzeczy. Może handluje nieruchomościami i chce zburzyć stare domostwo, by na jego miejscu zbudować jakieś koszarne nowoczesne osiedle?

- Wybieram się teraz do sklepu po chipsy i takie tam. Przed dwunastą będę z powrotem - powiedziała, zdejmując fartuch.

Droga do miasteczka prowadziła przez wioskę Elmhurst. Załadowawszy zakupy na cały tydzień do bagażnika Morrisa Minor, Josie postanowiła wstąpić do publicznej biblioteki. Cel wizyty nie miał wprawdzie bezpośredniego związku z pracą w herbaciarni, ale jej efekty na pewno zaciekawią pracowników Elmhurst Hall.

Ominąwszy półki z książkami, ruszyła do mieszczących się w głębi biblioteki komputerów. Po połączeniu się z internetem wpisała dwa słowa: William Roberts. Wczoraj dowiedziała się wreszcie od Barretta, jak nowy właściciel się nazywa.

Odnalezienie wśród licznych Williamów Robertsów tego właściwego zajęło Josie trochę czasu, ale gdy wreszcie na niego trafiła, uzyskane o nim informacje potwierdziły jej najgorsze przypuszczenia.

Dowiedziała się, co prawda, że przed paroma miesiącami przyznano Wil-
lowi prestiżową nagrodę za jeden z jego projektów, ale okazało się przy okazji,
że jego przedsiębiorstwo nie tylko odnawia zabytki, ale jest także firmą dewe-
loperską.

Oczami duszy widziała już, jak całe jej dotychczasowe życie rozpada się
w gruzy. Jeżeli Elmhurst Hall zostanie zamknięte, pozostanie jej tylko powrót
pod dach rodziców. A zawsze sobie obiecywała, że wpierw piekło zamarznie,
nim ona się na to zdecyduje.

Dalsze poszukiwania niewiele przyniosły, oprócz nader ogólnikowych in-
formacji pozwalających wywnioskować, że tajemniczy pan Roberts zbudował
swą znakomicie prosperującą firmę praktycznie od zera.

Nagle przypomniała sobie, niemal usłyszała, jak jej matka mówi: „Moja
droga, może on jest bogaty, ale boję się, że nie należy do naszej sfery”.

Jej matka była potworną snobką.

- Seksowny facet, nie ma co! - dobiegł zza jej pleców tym razem realny
kobiecy głos.

Był to głos prowadzącej bibliotekę Marianne, która, jak się okazało, za-
glądała przez jej ramię. Marianne była nie tylko wścibska, ale miała niepoaha-
mowaną skłonność do plotek.

- Naprawdę? Nie zauważyłam.

- Nie udawaj! Popatrz na to zdjęcie. Ma takie myślące poważne oczy. A
jakie rysy! Założę się, że reszta jest równie imponująca.

- Czytasz stanowczo za dużo romansów - obruszyła się Josie. - Nie każda
kobieta sądzi mężczyzn po pozorach. - Szybko zamknęła stronę i wyłączyła
komputer.

Marianne z lekkim wzruszeniem ramion odwróciła się na pięcie i odeszła.

Josie westchnęła, odprowadzając ją wzrokiem. Nie zamierzała tracić czasu na rozmyślania o najbardziej nawet interesujących męskich spojrzeniach. Może Will Roberts rzeczywiście wygląda na „seksownego faceta”, ale nie zmienia to faktu, że jego pojawienie się jest najprawdopodobniej dla Elmhurst Hall największym nieszczęściem od pięciu wieków.

ROZDZIAŁ DRUGI

Will usiadł w kącie herbaciarni, za ohydną ogrodową kratą, którą oplatał wyblakły bluszcz z plastiku.

Trzeba koniecznie coś z tym wnętrzem zrobić.

Na tle szlachetnie wyglądającej, mimo zaniedbania, siedziby pospolite urządzenie herbaciarni było szczególnie rażące. Bał się jednak reakcji prowadzącej lokal.

Will już od miesiąca spędzał weekendy w Elmhurst Hall, ale nadal nie był pewien, jak matka Hattie zareaguje na plany generalnej przebudowy jej królestwa.

Na zdrowy rozum ta dziwna kobieta o różowych włosach powinna się ucieszyć z zamiaru przywrócenia siedzibie dawnej świetności. Ona jednak najwyraźniej kręciła na niego nosem. Niby zachowywała się poprawnie, ale Will miał nieodparte wrażenie, że na jego widok zaczyna wewnętrznie syczeć.

Patrząc teraz z zazdrością, jak chętnie i miło Josie rozmawia z klientami, jak wylewnie ich żegna, doszedł do wniosku, że potrafi okazać ludziom wiele ciepła i serdeczności. Wszystkim, tylko nie jemu.

Spojrzał na zegarek. Po zamknięciu herbaciarni, czyli za pięć minut, musi się z nią rozmówić.

W ciągu ostatnich tygodni przeprowadził podobne rozmowy ze wszystkimi pracownikami. Pytał ich, co robią i co ich zdaniem należałoby usprawnić. Z uwagą słuchał ich sugestii, zarówno trafnych, jak i tych mniej szczęśliwych. Największy zawód sprawiła mu Molly, przewodniczka po pałacu, która chciała założyć w Elmhurst Hall muzeum ogrodowych krasnali.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk stawianej na stole filiżanki z herbatą. Podniósł oczy i zobaczył Josie, która patrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: Miejmy to wreszcie z głowy.

- Dziękuję, Josie. Bądź łaskawa usiąść.

Zawahała się, ale po chwili usiadła.

- Przeglądałem księgi rachunkowe herbaciarni - zaczął, a Josie prychnęła.
- Nie wygląda to najlepiej...

- Robię, co mogę w istniejących warunkach - przerwała mu, wojowniczym gestem zaplatając ręce na piersi. - Wszystko, co jest możliwe przy bardzo ograniczonym budżecie i prawie bez pomocy.

- Pozwól mi dokończyć. Powiedziałem, że wyniki nie są imponujące, ale to nie znaczy, że są rozpaczliwe. Prawdę mówiąc, herbaciarnia to jedyna tutajsza działalność przynosząca konkretny dochód i podejrzewam, że głównie dzięki tobie.

- O! - mruknęła, wyraźnie zbита z tropu.

- Powiem prosto z mostu. Potrafisz w trudnych warunkach zaoferować klientom atrakcyjne menu, ale urządzenie herbaciarni jest nie do przyjęcia.

Już miała zaprotestować, ale rozejrzawszy się po kiczowatym wnętrzu, skapitulowała.

- Masz rację. Jest koszmarnie. Nie pamiętam, ile razy mówiłam Harry'emu, że trzeba coś z tym zrobić, ale nie chciał mnie słuchać.

- Więc nie będziesz miała nic przeciwko pewnym zmianom? - zapytał ostrożnie, upiwszy łyk herbaty.

- Pewnym? - wykrzyknęła. - Trzeba stąd wszystko powyrzucać. - Pode-
rwała się na nogi, postawiła krzesło na sąsiednim stole i wskoczyła na blat, nim
zdażył zaprotestować.

Co ta wariatka wyprawia?

- Josie, przestań, to niebezpieczne...

- Nic mi nie będzie, niewiele ważę.

Zanim zdołał się wygramolić z ciasnego kąta, Josie stała już na krześle,
wskazując ręką podwieszany plastikowy sufit. Co miał robić? Chcąc nie chcąc,
wdrapał się za jej przykładem na stół, mając nadzieję, że się pod ich ciężarem
nie zawali.

- Widzisz? - zawołała.

- Josie, nie...

Nagle dostrzegł ukryty pod plastikiem piękny sklepiony sufit. Ciemny od
brudu i dymu, a jednak po odczyszczeniu wyglądałby wręcz wspaniale.

Rzuciła mu triumfalne spojrzenie. Mimo że stała na krześle, była niewiele
wyższa od niego. Niemal czuł jej piersi, miał tuż przed sobą jej rozpromienione
oczy.

- Hm, coś takiego... - wybąkał. - Może jednak pomówimy o tym na pew-
niejszym gruncie.

W jej stosunku do niego nastąpiła subtelna zmiana.

- Zgoda, lordzie Radcliffe - powiedziała, schodząc ze stołu.

- Mów mi Will.

Uśmiechnęła się, a jej twarz w jednej chwili uległa zadziwiającej prze-
mianie. Gdyby nie nadmiar kredki do oczu i różowe włosy, wyglądałaby za-
chwycająco.

- Nie wiem, czy wypada.

- Naprawdę tak uważasz? - zdziwił się.

- Ja nie, ale Barrett mówi, że masz bzika na punkcie etykiety. Że zależy ci, żeby wszystko odbywało się według idiotycznych staroświeckich reguł. A jedna z nich zabrania spoufalania się ze służbą.

Will podrapał się w głowę.

- To wszystko jest dla mnie takie nowe - mruknął.

- Domyślam się.

- Bardzo to widać? Zmierzyła go wzrokiem.

- Chodzisz w drogich garniturach, nieodpowiednich na wieś. Robisz w nich wrażenie miejskiego eleganta.

- W końcu nim jestem. Pracuję w Londynie.

- No to ubrania od Armaniego zachowaj na Londyn, a na wieś wkładaj coś praktyczniejszego.

Ciekawe, pomyślał. Josie nie wygląda na osobę zdolną na pierwszy rzut oka rozpoznać garnitur od Armaniego.

- W tym ubraniu wydajesz się nie na miejscu.

A ona w swoim, i do tego z tymi włosami, jest na miejscu? Wolał jednak tego tematu nie poruszać. Zależało mu przede wszystkim na tym, żeby się z nią dogadać.

Instynkt człowieka interesu podpowiadał mu, że jeśli Elmhurst Hall nie poniosło kompletnej finansowej klapy, to głównie dzięki Josie. Dziewczyna może się okazać na przyszłość cennym sprzymierzeńcem.

Do herbaciarni weszła nieznana mu kobieta, pewnie ktoś z wioski, a za nią wśliznęła się mała Hattie. Podczas gdy Josie rozmawiała z nowo przybyłą, dziewczynka zbliżyła się do jego stolika.

- Cześć, Will - powiedziała, pakując mu się na kolana.

Will zbaraniał. Nie umiał rozmawiać z dziećmi ani się z nimi bawić. Posłał Josie błagalne spojrzenie, ale była zbyt zajęta rozmową, by to zauważyć.

Popatrzył na Hattie i napotkał jej uważny wzrok.

Nie uśmiechała się, nie próbowała paplać po dziecinnemu, po prostu patrzyła na niego. Poważnie, ale z nieskrywaną bezinteresowną sympatią.

Dziwne. Ale miłe.

Nadal się sobie przyglądali, kiedy do stolika wróciła Josie. Na jego spojrzenie z prośbą o ratunek lekko się uśmiechnęła, co uznał za wydarzenie chyba jeszcze dziwniejsze.

- Może byś zajrzała do bufetu i wybrała sobie owocowe ciastko - zaproponowała córce.

Hattie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

- Wracając do renowacji, zlecę architektowi wewnątrz, żeby niezwłocznie przystąpił do pracy.

Josie skinęła głową. Opuszczając herbaciarnię, Will wciąż nie był pewien, czy zdołał przełamać jej niechęć.

Jadąc samochodem, już z daleka dostrzegła Harrington House, swój rodzinny dom, i poczuła niemiły uścisk w sercu.

- Hurra! - z tylnego siedzenia wykrzyknęła Hattie.

Josie nie podzielała jej entuzjazmu. Mimo swego ogromu, okazała rezydencja o blisko stu pokojach budziła w niej klaustrofobiczny lęk. W Elmhurst Hall nigdy tego nie odczuwała. Był faktycznie dwa razy mniejszy, a poza tym stał na równinie i otaczały go drzewa, podczas gdy zbudowany na wzgórzu Harrington House dominował nad całą okolicą.

Wysiadając z samochodu i wypuszczając Hattie, czuła się dziwnie mała i bezbronna.

Hattie z krzykiem radości rzuciła się w ramiona oczekującej na schodach babci.

Josie szła za nią wolnym krokiem.

- Witaj, mamó - powiedziała, wymieniając z matką ostrożne pocałunki.

Matka obrzuciła jej różowe włosy znaczącym spojrzeniem, ale ich nie skomentowała.

- Miło cię widzieć, Josephine - powiedziała. - Twój brat już jest.

- Wspaniale! Kiedy będzie lunch?

- Siadamy do stołu o wpół do drugiej.

Przy akompaniamencie miarowego stukotu wysokich obcasów pani domu ruszyły przez gigantyczny westybul w kierunku salonu.

- Cześć, Alfie! Moje gratulacje! - z autentyczną radością wykrzyknęła Josie, ściskając na powitanie swego starszego brata.

Jasnorude włosy opadały mu jak zwykle na czoło, a na ustach miał ten sam co zawsze niepewny uśmiech. No, może jeszcze bardziej niepewny niż zwykle, a to z uwagi na obecność stojącej u jego boku smukłej panny, która wpatrywała się w Josie z nieskrywanym zaciekawieniem.

- Dlaczego jej nie uprzedziłeś, braciszku? - dodała, całując dziewczynę w policzek. - Miło cię poznać, Sophie. Twój narzeczony zapomniał ci powiedzieć, jaką ma niegrzeczną siostrę? No to pokaż mi zaręczynowy pierścionek.

Sophie posłusznie wyciągnęła lewą dłoń.

Josie wypowiedziała obowiązkowe słowa zachwytu nad pierścieniem z nieprzyzwoicie wielkim brylantem. Aż dziw, że szczupłutka jak gałązka Sophie nie ugiwała się pod jego ciężarem.

Sophie nie mogła oderwać oczu od swej przyszłej szwagierki.

- Ale masz włosy! To znaczy, są bardzo...

- Bardzo różowe, to pewnie chciałaś powiedzieć - zakończyła za nią Josie. - Jeśli dobrze pamiętam, na pudelku z farbą było napisane „Kolor nieprzystwoicie różowy”.

- Josephine, zachowuj się! - upomniała ją matka. Josie tylko wzruszyła ramionami. Nie zamierzała nikogo przeproszać za to, jak wygląda ani jak się zachowuje.

Kolacja jak zwykle była długa i męcząca. Biedna Sophie, której imię już po dwóch godzinach znajomości Josie opatrywała w myślach przymiotnikiem „biedna”, otóż biedna Sophie ledwo śmiała jeść, tak była skrepowana. Zresztą zupełnie niepotrzebnie, gdyż matka koncentrowała swą krytykę na marnotrawnej córce.

Biedna Sophie. Gdyby wiedziała, co ją czeka, uciekłaby stąd z krzykiem. Kiedy po kolacji wszyscy przeszli do salonu, matka usiadła obok Josie.

- Hattie to takie kochane dziecko - powiedziała.

Oho! - pomyślała Josie. Trzeba uważać, mama coś knuje.

- Tak, jest raczej wyjątkową dziewczynką.

W oczach spoglądającej na wnuczkę babki pojawiła się niemal czułość. Hattie leżała na dywanie, zajęta kolorowaniem książeczki z obrazkami.

Mamie podoba się pewnie sukienka z falbankami, którą Hattie uparła się dzisiaj włożyć. Josie nie mogła się swojej córeczce nadziwić. Jej rajstopy były nadal nieskazitelnie czyste, a przód sukienki nieskalany ani jedną plamką po lodach, którymi dziewczynka objadała się przy kolacji. Matka zdawała się czytać w jej myślach.

- Czyż nie wygląda uroczo? Prawdziwa malutka dama. Jak pomyślę o tobie w jej wieku...

Wszelkie porównania musiały być dla Josie druzgocące. Matka równie dobrze mogłaby po prostu zapytać, jakim cudem jej nieudana córka urodziła dziecko będące chodzącą doskonałością.

Prawdę mówiąc, Josie też nie umiałaby na to odpowiedzieć. W każdym razie córka na pewno nie po niej odziedziczyła takie swoje cechy jak opanowanie, upodobanie do porządku i schludność.

Po ojcu też chyba nie. Miles był typowym playboyem. Miał w sobie nieodparty urok, wyrafinowanie i coś niebezpiecznego. I ten uśmiech! Josie nie mogła mu nie ulec. No i oboje mieli za dużo pieniędzy, a za mało rozumu na to, by zachować rozsądek. Wyszło, jak wyszło: osiemnastolatka w ciąży i dwie pary do głębi zgorszonych rodziców.

- ...gdyby spędziła u nas wakacje?

Josie zdała sobie sprawę, iż od dawna nie słucha, co matka do niej mówi.

- Przepraszam, mamó, zamyśliłam się. Matka zgromiła ją wzrokiem.

- Pytałam, czy nie uważasz, że byłoby dobrze, gdyby Hattie spędziła u nas wakacje. Nauczyłaby się jeździć konno.

- Nie robiłam jeszcze planów na lato.

Josie wiedziała, że matka nie da się długo zwodzić, ale potrzebowała czasu na wymyślenie przekonującej wymówki. Nigdy nie pozwoli, by Hattie spędziła całe lato w Harrington House. Babka urządząby małej istne pranie mózgu. Pozbawiłaby wnuczkę bezinteresownej radości życia, wbijając jej nieustannie do głowy, czego „się nie robi”, co „nie wypada”, co „jest właściwe”, a co nie.

- To, że nie zawsze się zgadzamy, to nie powód, żeby trzymać Hattie z dala ode mnie - oświadczyła pani Harrington-Jones, mierząc córkę surowym wzrokiem.

- Nie o to chodzi, po prostu w lecie jest u nas największe natężenie pracy. Trudno cokolwiek z góry zaplanować.

- Nie wykręcaj się. - Matka przesunęła upierścienionym palcem po półce nad kominkiem, sprawdzając, czy nie ma kurzu. - Wiesz dobrze, że nie musisz pracować. Mogłybyście obie z Hattie zamieszkać u nas, nawet w osobnym mieszkaniu z własnym wyjściem, gdybyś chciała czuć się swobodnie.

To i tak niczego by nie zmieniło. Matka miała żelazną wolę i, mając córkę pod ręką, potrafiłaby przeprowadzić swoje plany. Zanim by się Josie obejrzała, zostałaby wydana za pomniejszego lorda, gotowego przymknąć oko na młodzieńcze grzeszki swojej narzeczonej.

- To ja zaszłam w ciążę, mamó, i sama muszę sobie poradzić z konsekwencjami.

Matka otrzepała palce z niewidocznych drobin kurzu.

- Nie karz Hattie za to, że nie chcesz z nami mieszkać.

- Zapewniam cię, mamó, że Hattie niczego nie brakuje. Chcę, żeby miała szczęśliwe dzieciństwo. Nie wszystko, co robię, robię przeciwko tobie.

- Co za ulga - odparła matka chłodno.

- Wiem, co o mnie myślisz. Zdaję sobie sprawę ze swojej lekkomyślności, ale to już przeszłość. Narodziny Hattie sprawiły, że dojrzałam. To, że nie noszę grzecznych kostiumików i pereł na szyi i nie wżeniłam się w dobrą rodzinę...

- A mogłaś.

No cóż, sama pozwoliła, by rodzice tak myśleli. Miles zmył się, gdy tylko usłyszał, że Josie spodziewa się dziecka, a ona, chcąc uniknąć dodatkowego upokorzenia, powiedziała im, że to ona z nim zerwała. A także odrzuciła propozycję „pozbycia się problemu” w prywatnej klinice przy Harley Street.

- Wiem, mamó, że trudno ci to zrozumieć, ale muszę sama, na swój sposób, pokierować swoim życiem.

- Walor tradycji odziedziczonych po przodkach takiej rodziny jak nasza polega na tym, że nie musimy powtarzać ich błędów - oświadczyła matka, poprawiając ustawienie bibelotów na kominku.

No tak, choćby rozmawiały do rana, matka nigdy nie pojmie, o co Josie naprawdę chodzi. Nie wyobrażała sobie, iż można pragnąć innego losu, niż bycie panią tego wielkiego, przenikniętego chłodną poprawnością domu.

- Ucząc się na własnych błędach, wiem, że naprawdę żyję - odparła Josie. Woląła nie wspominać, jak wiele nauczyła się, obserwując błędy swoich rodziców.

Popatrzyła na zajętą kolorowaniem wizerunku królowny z bajki Hattie i poczuła ukłucie w sercu. Nie narazi córki na to, co sama przeżywała w jej wieku i później. Bo jeśli dorastając, dopuszczała się różnych szaleństw, to przede wszystkim przez brak czułości i uwagi ze strony rodziców. Miała nadzieję, że jej córki nigdy nie spotka nic podobnego.

Co prawda dziś, kiedy wyobraźnię małej dziewczynki absorbują głównie lalki i zabawy z rówieśnikami, łatwo jest mówić o niekrepowaniu jej spontanicznych pragnień. Ale co będzie, jak podrośnie i pojawią się chłopcy, alkohol, narkotyki? Na każdym kroku czyhać będą pokusy i zagrożenia.

Ogarnęło ją nieodparte pragnienie, aby Hattie pozostała z nią na zawsze w Elmhurst Hall, i nigdy nie przestała bawić się w chochliki i trolle. Z nagłą czułością popatrzyła na zapatrzoną w ogień matkę. Chciała się do niej przytulić i powiedzieć, że rozumie jej opiekuńcze odruchy, lecz ta otrząsnęła się właśnie z zamyślenia, wstała i odeszła w drugi kąt pokoju.

- Hattie? Mogłabyś wyjrzeć i zobaczyć, kto przyszedł? - zawołała Josie, unosząc znad wanny mokrą głowę, z której kapały na podłogę różowe krople.

Cisza.

- Hattie!

Znowu nic. Z cichym przekleństwem zerwała się z klęczek, owinęła głowę ręcznikiem i zbiegła na parter. Otworzyła moką ręką drzwi wejściowe i zamarła.

Na progu jej domu stał Will.

Niech to cholera! Nawet osoba tak mało dbająca o to, co ludzie pomyślą o jej wyglądzie, jak ona, nie lubi się pokazywać szefowi z moką głową.

Szybko się jednak opanowała i zmierzyła Willa wyzywającym wzrokiem. W kąciку jego ust błąkał się leciutki uśmiech.

- Przepraszam bardzo, ja w sprawie herbaciarni - zaczął. - Ale widzę... może przyjdę później?

- Nie, proszę, wejdź! Ja zaraz wrócę.

Wpuściwszy go do domu, pobiegła na górę, by dokończyć splukiwanie farby. Kiedy po dziesięciu minutach schodziła na parter, w saloniku panowała cisza. Czyżby Will znecierpliwił się i wyszedł? Byłoby fatalnie, gdyby o tej porze, kiedy zaraz trzeba będzie kłaść Hattie do łóżka, musiała iść go szukać.

Weszła do pokoju. Nad grą planszową pochylały się w milczeniu dwie głowy. Nic do siebie nie mówiąc, w napięciu przesuwali na zmianę pionki. - Po ostatnim ruchu Hattie podniosła główkę.

- Wygrałam - oświadczyła. - Dziękuję, Will.

Josie podeszła i pogłaskała córkę po głowie.

- Czas do łóżka, kochanie. - Hattie nie protestowała, ale przed odejściem starannie przygładziła włosy. - Przepraszam, musiałeś się wynudzić - dodała Josie.

- Wcale nie - odparł. - Bardzo dobrze się bawiłem.

Czy to możliwe? Pewnie tylko tak mówi.

- Co cię do mnie sprowadza w niedzielę wieczór?

Sięgnął po stojącą obok jego krzesła teczkę i wyjął z niej dużą kopertę. Jego ręce poruszały się z godną podziwu precyzją.

- Chodzi o nowe urządzenie herbaciarni. Pomyślałem, że chciałabyś zobaczyć, co proponuje mój architekt. Jestem ciekaw twoich uwag i pomysłów - dodał, pokazując jej wyjęte z teczki rysunki.

Will pyta ją o zdanie? To coś nowego. Przez sześć lat nie mogła się doprosić, by Harry jej wysłuchał.

Willowi najwyraźniej zależy na doprowadzeniu domostwa do dobrego stanu. I do tego prosi ją o radę. Nie wiedząc o niechlubnej przeszłości swojej pracownicy, patrząc na nią nieuprzedzonym okiem, widzi w niej nie potencjalne zagrożenie, lecz możliwego sojusznika.

Co za miłe uczucie!

- Jestem bardzo ciekawa tych projektów i chętnie je obejrzę. Napijesz się kawy?

- Z przyjemnością.

- No to rozsiądź się, a ja zaraz wrócę - odparła, zdejmując z fotela stos rozłożonych na nim rysunków. Widząc, że Will zamierza usiąść na stojącym obok krześle z wysokim oparciem, zawołała: - Nie, nie na tym! Usiądź tutaj. Tamto wytrzymuje tylko ciężar Hattie. - Will popatrzył niepewnie najpierw na krzesło, potem na fotel. - Ten jest mocny, przysięgam, nie zawali się.

Will, nadal nic nie mówiąc, usiadł ostrożnie na brzegu fotela. Nie wydał się tym wszystkim zachwycony.

- Kiedy się tutaj wprowadzałam, Harry pozwolił mi umeblować mieszkanie zalegającymi na strychu starymi gratami. Niektóre są mocno nadwerężone przez korniki.

- A tak, rozumiem. - Poprawił się w fotelu, niemniej miał nadal niepewną minę.

Josie pobiegła do kuchni, mówiąc sobie w duchu, że musi uważać, by nie paplać byle czego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy wróciła z dwiema filiżankami kawy, Will nie siedział już na brzeżku fotela, lecz nadal miał nietęgą minę. Josie rozłożyła rysunki na stole.

- Jak widzisz, nie zamierzamy przewracać wszystkiego do góry nogami. Zwłaszcza że trzeba się spieszyć, jeśli chcemy skończyć renowację przed początkiem letniego sezonu - powiedział Will, stając za jej plecami.

Josie nie potrafiła czytać architektonicznych projektów.

- A tu co ma być? - spytała.

- Tu? To część samoobsługowa oraz kasy.

Zwróciwszy ku niemu twarz, ujrzała z bliska jego oczy i aż zamrugła z wrażenia, choć sama nie bardzo wiedziała dlaczego. W każdym razie na moment zaniemówiła.

- Uważasz, że to zły pomysł.

- Hm - mruknęła, usiłując skoncentrować uwagę na rysunku. - W ten sposób tworzy się jedna kolejka do kas, niezależnie od tego, czy ktoś kupuje jedzenie, czy tylko kawę albo inny napój. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby wszystko urządzić... zaraz ci pokażę. - Chwyciwszy rysunkowy blok Hattie i czerwoną kredkę, naszkicowała kilkoma liniami zarys herbaciarni i przerywaną kreską wykreśliła kształt zbliżony do podkowy. - Jeśli w osobnym miejscu bę-

dziemy wydawać wyłącznie kawę i napoje, to możemy tam ustawić osobną kasę. To znacznie przyspieszy obsługiwane klientów, a im też będzie wygodniej.

Will przyjrzał się rysunkowi, po czym skinął głową.

- Pokażę to wewnątrz i powiem, żeby zmienił projekt - rzekł z uznaniem.

Josie wzięła swoją filiżankę i odsunęła się z nią na bezpieczną odległość od stołu, a właściwie od Willa.

- Cieszę się, że mogłam się na coś przydać. Zawsze do usług. - Poczula ulgę, a wraz z nią nagły przypływ elokwencji. - Jestem naprawdę podniecona planami renowacji i mam mnóstwo innych pomysłów. Wyobrażam sobie białe ściany, drewniane rustykalne krzesła i wielkie nowoczesne obrazy na ścianach.

- Zaraz jednak uznała, że za dużo mówi, w dodatku zanadto gestykuluje, i zamilkła.

- Bardzo ci dziękuję - skwitował jej uwagi Will. - Przepraszam, że cię oderwałem od domowych zajęć - dodał, po czym złożył rysunki i schował je do teczki.

- Ja tylko nakładałam farbę na odrosty.

Will otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Popatrzył przez okno na ogród, potem znowu na nią spojrzał.

- Jaki miałaś przedtem kolor? - zapytał.

- Jaki kolor? - powtórzyła, jakby go nie rozumiała. - A, chodzi ci o włosy. Były bardzo jasne, prawie białe.

- Nie, ja miałem na myśli twój prawdziwy kolor.

- Eh, nic ciekawego - mruknęła lekceważąco. - Był nudny. Dlaczego pytasz?

Will zagapił się w przestrzeń ponad jej głową, a Josie pomyślała, że sam nie wie, dlaczego ją o to zapytał. Zarazem jednak dziwnie się rozgadał, w każdym razie jak na „małomównego” mężczyznę.

Na schodach rozległ się tupot drobnych stóp. To mała

Hattie zbiegła na parter i rzuciła się na Willa, obejmując jego nogi rączkami.

- Dobranoc, Will.

Popatrzył na przytuloną do jego kolan dziewczynkę i twarz na krótką chwilę rozjaśnił mu ciepły uśmiech.

- Dobranoc, Hattie.

Josie miała niemal fizyczne wrażenie, że między jej córką a Willem przeskoczyła iskra wzajemnej sympatii i porozumienia. Zawsze marzyła, żeby i ona mogła kiedyś doświadczyć czegoś podobnego. Odczuć taką nagłą i oczywistą więź. Ale nigdy jeszcze tego nie przeżyła.

To nieładnie z jej strony, ale przez sekundę była zazdrosna o własną córkę.

Kochała Hattie, kochała ją całym sercem, niemniej przychodziło jej niekiedy do głowy pytanie, czy na miejsce jej córki jakieś wróżki nie podrzuciły własnego potomstwa. Ona i Hattie różniły się pod każdym względem. Co więcej, Hattie nie przypominała swego buchającego niespokojną energią ekstrawertycznego ojca.

Will usiłował się wyswobodzić z objęć dziewczynki.

- Wystarczy, Hattie. Zostaw Willa w spokoju.

Hattie posłusznie opuściła rączki i cofnęła się. No właśnie, oto kolejny dowód, jak bardzo się różnią. Gdyby Josie zdarzyło się w dzieciństwie coś podobnego, trzeba by ją od jej ulubieńca odrywać siłą.

- No to ja już pójdę. Dziękuję za pomoc, Josie.

- Nie ma za co - odparła, odprowadzając Willa do drzwi. Kiedy już miał wychodzić, rzekła: - Poczekaj chwilkę, mam coś dla ciebie. - Pobiegnęła z powrotem do saloniku i z wetkniętej za fotel torby wyciągnęła wełniany przedmiot. - Proszę, zrobiłam go na drutach. Na zgodę.

- Co to ma być? - zdumiał się, obracając dziwny przedmiot w rekach.

- Jak to co? Beret! - obruszyła się.

- Ach tak? Bardzo kolorowy. Dziękuję. - Wepchnął beret do kieszeni i pospiesznie wyszedł.

- No to do zobaczenia - zawołała za nim. I chyba całkiem niepotrzebnie dodała: - Dam ci znać, gdyby w przyszłym tygodniu przyszedł mi do głowy jakiś genialny pomysł. Oczywiście, jeżeli się zjawisz.

Przystanął i spojrzał na nią przez ramię.

- Dekoratorzy skończyli już prace w prywatnych apartamentach, więc postanowiłem zostać na jakiś czas, żeby doglądać reszty robót na miejscu.

Pomachawszy jej na pożegnanie, ruszył przed siebie i po chwili zniknął w mroku.

- Mamo, czy muszę już iść spać? - spytała Hattie.

Do oficjalnej godziny pójścia do łóżka brakowało pięciu minut.

- No dobrze. Rozłóż planszę, to rozegramy na dobranoc ostatnią partyjkę.

Hattie wprawdzie nie podskoczyła z radości, ale na jej buzię wypłynął radosny uśmiech. Potem, kiedy grały, Josie musiała się powstrzymywać, by nie krzyczeć głośno „Hurra!”, ilekroć udało jej się osiągnąć przewagę, podczas gdy jej córeczka-odmieniec kwitowała swoje sukcesy dyskretnym uśmiechem.

Gdy Hattie była już w łóżeczku, a Josie zdążyła jej przeczytać kolejny fragment „Kopciuszka”, mała nagle wykrzyknęła:

- Gdzie jest Poppy?

Poppy była jej ulubioną lalką, z którą nigdy się nie rozstawała.

- Nie martw się, kochanie, na pewno zaraz się znajdzie. Musi być gdzieś w saloniku - uspokoiła bliską łez córeczkę Josie.

Zbiegła na parter, przeskakując po dwa stopnie. Lalka faktycznie była w salonie, ukryta za krzesłem, za które musiała w zamieszaniu spaść. Otrzeprawszy ją starannie, Josie wróciła na górę, ale w drzwiach sypialni przystanąła, nie chcąc przerywać córce wieczornej modlitwy.

- Pobłogosław Panie Boże babci i dziadkowi - cienkim głosem modliła się Hattie. - Miej w swojej opiece mojego nowego przyjaciela Willa. Pobłogosław mamie. Miej w swojej opiece... - Josie wstrzymała oddech. - Miej w swojej opiece tatusia. Wiem, Panie Boże, że nie powinnam Cię prosić o nic dla siebie, ale czy mógłbyś mu przypomnieć, żeby mnie kiedyś odwiedził? Widziałam go ostatni raz, kiedy byłam bardzo malutka, a on obiecał, że jak znowu przyjedzie, to zabierze mnie do zoo.

Josie musiała się wycofać do łazienki, by osuszyć łzy. Robiła zawsze, co mogła, by nie pozbawić Hattie naiwnej wiary w składane jej przez ojca obietnice. Niestety, dowiedziała się niedawno, że Miles spędza większość czasu w Monte Carlo, grając w ruletkę, rozbijając się wyścigowymi samochodami i prowadząc życie równie szalone jak to, któremu oddawali się oboje, mając po osiemnaście lat. Josie miała nadzieję, że kiedyś dorośnie i zrozumie, ile stracił, zapominając, że ma córkę.

Ale na razie może lepiej, żeby jej zbyt często nie widywał i nie pozbawiał złudzeń, skoro Hattie wytworzyła sobie wyidealizowany obraz czarującego i kochającego ojca. Josie weszła do pokoju i podała małej lalkę.

- Poppy urządziła sobie zabawę w chowanego. Znalazłam ją w kącie salonu za krzesłem. - Otuliła córkę kołderką i czule ją ucałowała. W ostatniej chwili oparła się pokusie zmierzwienia czupryнки swego ukochanego dziecka.

Wszędzie walały się papiery. Stojący na półce wypchany bażant obserwował wysiłki Willa przedzierającego się z trudem przez zalegający gabinet Harry'ego Radcliffe'a bałagan.

Łudził się, sądząc, że zdoła pogodzić obowiązki szefa firmy i niedzielnego właściciela ziemskiego. Renowacja i zarządzanie posiadłością okazało się pełnoetatowym zajęciem. Chcąc mu sprostać, musi mieć biuro.

Tymczasem półki były zapchane książkami, a na stołach i innych powierzchniach nie było ani centymetra wolnego miejsca. Will miał też nadzieję dowiedzieć się więcej o dawnym właścicielu majątku i tego gabinetu. Ojciec i dziadek odumarli go, gdy był prawie dzieckiem, toteż dorastając, nie miał nikogo, kto mógłby mu odpowiedzieć na pytania dotyczące rodzinnych tajemnic.

Może to dziwne, ale nigdy nie uważał się za Radcliffe'a. O tym, że jego dziadek nazywał się pierwotnie William Radcliffe, a potem zmienił nazwisko na Roberts, Will dowiedział się w wieku dwudziestu pięciu lat. Babka dopiero po latach wyjawiała mu, że rodzina wydziedziczyła dziadka i zerwała z nim wszelkie kontakty, ponieważ ożenił się z niewłaściwą osobą.

William Radcliffe, czy raczej Roberts, nigdy nie okazał żalu z powodu swojej decyzji, niemniej rodzinny ostracyzm musiał być dla niego ciężkim ciosem. Nie mógł też nie ubolewać nad tym, że skazał swych potomków na wykluczenie z rodziny.

No a teraz wszystko się odwróciło. Dotychczasowi dysponenci rodzinnej siedziby doprowadzili Elmhurst Hall do ruiny, a tym, który przywraca jej dawną świetność, jest wnuk wykluczonego odstępcy. A jeżeli do tego majątek zacznie przynosić dochód, zapewniając w ten sposób jemu, jego dzieciom i wnukom bezpieczną przyszłość, będzie miał się czym pochwalić przed nieznanymi krewniakami.

Najpierw jednak musi sobie znaleźć odpowiednią żonę. Osobę rozsądną, ale nie nudną, atrakcyjną, lecz zrównoważoną. Gotową wieść u jego boku spokojną egzystencję na wsi. Już samo znalezienie takiego ideału było niełatwym zadaniem, a poza tym, nawet gdyby na taką trafił, czy zdobyłaby jego serce?

Tak sobie rozmyślał, przeglądając zalegające biurko Harry'ego papiery. Po dwóch godzinach wszystko było uporządkowane. Z dokumentów jasno wynikało, że poprzedni właściciel Elmhurst Hall był nader nieudolnym gospodarzem. Trzeba zaprowadzić nowe porządki. Przede wszystkim posiadłość potrzebuje sprawnego i energicznego zarządcy. Dobrego organizatora.

Will sięgnął po oprawioną w ramki fotografię, która wyłoniła się przed chwilą spod stosu papierów. Zdjęcie, zapewne pochodzące z lat pięćdziesiątych XX wieku, ukazywało rodzinną grupę na tle zapuszczonego ogrodu różanego. Will rozpoznał na nim Harry'ego, znanego mu już z wcześniej odnalezionych w domu fotografii, w towarzystwie innego mężczyzny, zapewne jego brata, stryjecznego dziadka Willa, w otoczeniu dzieci.

Odkąd adwokat skontaktował się z Willem, nikt z tych krewnych nie raczył się do niego odezwać. Odstawił fotografię na biurko. Widoczne na zdjęciu dzieci muszą mieć dzisiaj około pięćdziesiątki albo więcej.

Za lady wyłoniła się anielska twarzyczka Hattie.

- Mamo, czy mogę zjeść jeszcze jedno ciastko?

- Nie, kochanie, jedno wystarczy. Za trzy kwadranse kończę pracę, a wtedy pójdziemy do domu na podwieczorek. Usiądź grzecznie w kąciку i zajmij się kolorowaniem książeczki.

- Kiedy wszystkie stoły okropnie się chwieją.

Josie rozejrzała się po tymczasowej herbaciarni, urządzonej na czas remontu w sklepie z pamiątkami. Umeblowanie składało się z kulawych ogrodowych stołów i innych przypadkowo pozbieranych sprzętów.

- Popatrz na tych państwa, którzy zwalniają stolik w kącie. To jedyny, który się nie kiwa. Pomogę ci z kredkami.

W trakcie przenoszenia przyborów jedna kredka spadła na podłogę i potoczyła się pod krzesło, a kiedy Josie schyliła się, by ją podnieść, zadzwonił staroświecki dzwonek u drzwi.

- Bardzo państwa przepraszam, ale coś mi upadło - powiedziała Josie, szybko się prostując.

Sądziła, że to przyszli nowi klienci, a tymczasem do herbaciarni wkroczył szef. W ciągu ostatnich tygodni zaglądał tu od czasu do czasu, zwykle tuż przed zamknięciem, i informował Josie o postępach prac. Może się myliła, miała jednak nieodparte wrażenie, że jego wizyty stają się coraz częstsze.

- Chciałem ci pokazać projekty nowego menu do zawieszenia przy kasach - oznajmił.

- Chętnie je obejrzę, ale mam jeszcze paru klientów.

- Nic nie szkodzi, poczekam. Dotrzymam towarzystwa Hattie. Mam dla ciebie niespodziankę, szkrabie.

- Dostanę czekoladkę? - zainteresowała się dziewczynka.

Will tylko się roześmiał. Wydając kolejne herbaty i ciastka, Josie od czasu do czasu rzucała okiem na siedzącego w kącie z jej córką mężczyznę. Po chwili zauważyła, że Will kładzie na stole płaskie drewniane pudło i wyjmuje z niego szachownicę i figury, a Hattie z radości klaszcze w rączki.

Że też o tym pomyślał! Musiał zauważyć, że Hattie często się nudzi, kiedy po powrocie ze szkoły czeka, aż matka skończy pracę. W ogóle ma na małą dobry wpływ. Pozbawionej ojca dziewczynce przyda się kontakt z mądrym mężczyzną.

Do czasu zamknięcia herbaciarni Hattie poznała wszystkie figury oraz reguły poruszania się każdej z nich po szachownicy.

- Czy mogę teraz obejrzeć wzory menu? - spytała Josie, podchodząc do stolika.

- Grasz w szachy? - zapytał Will, podając jej eleganckie kartony.

- Nie. Brat próbował mnie kiedyś nauczyć, ale szybko stracił cierpliwość. Stale próbowałam niedozwolonych ruchów, skakałam pionkami po szachownicy albo przesuwalam wieżę na ukos.

- No wiesz, mamó! - wykrzyknęła Hattie. - Przecież tak łatwo się tego nauczyć!

- Wiem, kochanie, ale nie mogłam się oprzeć pokusie łamania reguł. - Spojrzała na Willa. - Pewnie jesteś zgorszony? No, przyznaj się!

- Łamiąc reguły, nigdy się nie wygra.

- Ja wolę ustalać własne reguły - oświadczyła. Will z namysłem przesunął pionka o jedno pole.

- Zaczynam to zauważać - odparł - ale w życiu jest jak w szachach. Trudno coś osiągnąć, jeśli łamie się reguły.

Nieprawda, pomyślała Josie. Znała mnóstwo ludzi, którzy swój życiowy awans zawdzięczali wyłącznie odziedziczonym pieniądзом albo urodzeniu. Osiągali wysokie stanowiska wcale nie dzięki przestrzeganiu „reguł”, lecz towarzyskim powiązaniom. I uważali, że słusznie im się to należy.

Może to też są swoiste reguły. Tak czy inaczej, ona nie zamierzała się nimi kierować. Uznawała własną hierarchię wartości. A najważniejsze z nich to wolność, uczciwość i bezwarunkowa miłość.

Jeżeli nowy lord Radcliffe sądzi, że uczciwością i ciężką pracą wiele osiągnie w rojących się od cynicznych rekinów kręgach dobrze urodzonych ludzi, to wiele jeszcze musi się nauczyć.

Niezupełnie tak to sobie wyobrażałam, myślała Josie, rozglądając się po nowo urządzonej wnętrze.

- No i co powiesz? - zapytał Will.
- Hm, sztywne to... i bardzo tradycyjne.
- O to właśnie mi chodziło.

Josie westchnęła na wspomnienie snuty przez lata własnych pełnych fantazji pomysłów.

- Nie podoba ci się - stwierdził Will. Był wyraźnie zawiedziony.
- Nie musi mi się podobać.

Teraz to jego posiadłość, w której on może robić, co mu się podoba.

- Jak to nie musi? Nie pytałbym cię o zdanie, gdybym tak uważał.

Oto cały Will. W ciągu paru minionych tygodni miała wiele okazji, aby go bliżej poznać i przekonała się, że Will zawsze gra w otwarte karty.

- Co ci się nie podoba? - zapytał po chwili milczenia. Josie ponownie rozejrzała się wokoło.

- Na przykład te ciemnoczerwone kotary. W zimie, a nawet teraz, nadają wnętrzu przytulny charakter, ale w lecie stanie się przez nie ciemne i ponure.

- Nie mieszkamy na Florydzie.

- To prawda, ale w lipcu i sierpniu u nas też nie brakuje upałów. A ludzie zwykle przychodzą do herbaciarni po obejrzeniu ogrodów, kiedy są bardzo rozgrzani.

- No to co byś zmieniła?

Josie zastanowiła się.

- Ja bym to wszystko radykalnie unowocześniła. Jasne kolory, wiele powietrza. Czyste proste linie. Białe muslinowe firanki. Nowoczesne umeblowanie. Pewien lokalny malarz chętnie zaprezentuje swoje obrazy.

- Ale to będzie się kłócić z historycznym charakterem pomieszczenia - zaprotestował Will.

Josie niecierpliwie machnęła ręką.

- Tutaj były kiedyś stajnie. Gdybyście się wiernie trzymali tradycji, należałoby wypełnić te pomieszczenia siodłami i sianem, zbudować boksami i wprowadzić konie. A tam, gdzie są konie, nie podobna uniknąć końskiego...

- Wystarczy! Zrozumiałem!

- Nawozu. Miałam powiedzieć „nawozu” - odparła, posyłając mu anielski uśmiezek.

- Oczywiście, nie wątpię.

Wprawdzie swoim zwyczajem zachował śmiertelną powagę, niemniej Josie była gotowa przysiąc, że przez usta przemknął mu cień uśmiechu. Była bardzo ciekawa, jak wyglądałby jego pełny uśmiech. Jak wówczas ułożyłyby się jego wargi. Opamiętaj się, skarciła się w duchu. Nie powinnaś myśleć w ten sposób o swoim szefie.

Will podszedł tymczasem do stojącego nieopodal krzesła i otworzył wiszącą na oparciu plastikową torbę.

- Mam tu jeszcze jedno uzupełnienie nowego wnętrza - powiedział. - Moim zdaniem obsługa herbaciarni powinna nosić stosowne jednolite uniformy.

Obrzucił Josie szybkim spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że jej wystrzępionych dżinsów i bawełnianej koszulki nie uważa za „stosowny” ubiór. Dobrze, że ma na sobie żakiet i nie widać napisu na plecach koszulki.

Will podszedł do niej z przerzuconym przez ramię ubraniem.

- To jakieś żarty - wyszeptała, patrząc na niego ze zgrozą w oczach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ależ Josie, to tylko ubranie do pracy!

- Nie ma mowy. Popatrz na to obrzydlistwo. Szara kiecka!

A do tego zakrywająca kolana, zapinana pod szyję, z okrągłym wykładanym kołnierzykiem. Brr!

- Nie włożę tego - oświadczyła.

Will spojrzał jej prosto w oczy.

- Cały personel ma nosić takie sukienki.

Wszystko się w niej gotowało. Ale choć normalnie w odpowiedzi na podobny zamach na jej niezależność zareagowałaby jakimś kosmicznym szaleństwem, tym razem wysyczała tylko przez zęby:

- Piękne dzięki! - Wyrwała mu z rąk koszmarną kieckę i pomaszerowała do wyjścia.

Nikt nie będzie jej mówił, co ma robić i jak ma się ubierać. Jeżeli nie powiedziała, co o nim myśli, to wyłącznie dlatego, że ona i Hattie potrzebują dachu nad głową i muszą jeść. W progu jeszcze się obejrzała, żeby rzucić Willovi wściekłe spojrzenie.

Idąc dalej korytarzem, czuła na plecach jego wzrok. Czuła się upokorzona, ale nie pokonana. Lady Josephine Harrington-Jones nigdy się nie poddaje. W pierwszej rozgrywce musi ulec, ale ona jeszcze mu pokaże. To pomyślawszy, zdjęła żakiet, demonstrując wydrukowany wielkimi literami na plecach podkoszulka napis: Śmierć bogaczom!

Ma dziewczyna charakter! - pomyślał Will, kręcąc głową. No nic, jakoś sobie z nią poradzi.

Jest bystra i przedsiębiorcza, a do tego szybko się uczy. Niestety, jej szalone pomysły nie pasują do Elmhurst Hall. Stary szacowny dom wymaga odpowiedniej oprawy i Josie musi się z tym pogodzić.

Zaśmiał się cicho, wspominając jej oburzenie na widok służbowego uniformu, po czym rozejrzał się po herbaciarni. Niebo za oknami pociemniało, napływały czarne chmury. Znowu spadnie deszcz. Podeszedł do ściany i zapalił wszystkie światła. Tak, teraz lepiej.

Zgasił światła.

Hm. O nowoczesnych meblach i obrazach nie ma mowy, ale co do zasłon Josie może mieć trochę racji.

Indywidualizacja produktu, tak to się będzie nazywało, myślała Josie, zagłębiając z satysfakcją nożyczki w szarym materiale. Indywidualizacja...

- Znowu mówisz do siebie - zauważyła Hattie, podnosząc główkę z nad książki z obrazkami.

- Naprawdę?

- I prychasz.

- Wcale nie. - Hattie, zamiast odpowiedzi, rzuciła jej pełne niesmaku spojrzenie. Zupełnie jak matka. - Nie patrz tak na mnie, bo dostaję gęziej skórki.

Hattie bez słowa opuściła oczy na książkę. Matka stosowała wobec jej wybryków taktykę udawania, że nic się nie dzieje. Co tylko powodowało, że mała Josie jeszcze bardziej rozrabiała, domagając się uwagi. Przysięgła sobie nigdy nie postępować z Hattie w podobny sposób.

Odłożyła nożyczki, podeszła do małej i pocałowała ją w czubek głowy.

- Chcesz, żeby ci przeczytać? - spytała.

- Nie, dziękuję, mam. Lubię przyglądać się długo każdemu obrazkowi.

Czyli nie chce, żeby ją poganiać. Niemniej Josie czuła rozczarowanie. Wychowywanie dziecka tak, by dorastając, stawało się w pełni sobą, bywa trudniejsze, niż przypuszczała.

Podeszła do komody i zaczęła szukać w szufladzie różowych cekinów. Skoro lord Radcliffe każe jej nosić ten cholerny uniform, to ona, owszem, podporządkuje się, ale zrobi to na swój własny sposób.

Herbaciarnia była teraz otwarta prawie przez cały dzień. Will zajrzał do środka przez szybę w drzwiach. W lokalu roiło się od ludzi. Większość stolików była zajęta. Jeżeli już nowe urządzenie wnętrza przyciągnęło tylu klientów, to będzie ich jeszcze więcej, kiedy Josie wprowadzi nowe, znacznie bardziej urozmaicone menu.

Cóż z tego, kiedy nawet podwojone dochody z herbaciarni nie pokryją ciężących na posiadłości długów. W dodatku trwająca renowacja domu pochłaniała coraz więcej pieniędzy. Jego fundusze były na wyczerpaniu.

Will z westchnieniem wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer swego agenta od handlu nieruchomościami. Wiedział, co musi zrobić, żeby zdobyć środki na ukończenie remontu.

Znowu zajrzał przez szybę. Chciał zapytać Josie o dzisiejszy przychód, ale musi z tym poczekać, aż w lokalu będzie mniej klientów.

Kiedy w herbaciarni zrobiło się prawie pusto, wszedł do środka, szukając jej wzrokiem w nieco mrocznym wnętrzu. W sprawie ciemnych zasłon na oknach miała stuprocentową rację.

Nagle w odległym kącie coś zamigotało. Jakby zaświeciły jaskrawe iskierki. A kiedy zdał sobie sprawę, co widzi, szczeka opadła mu z wrażenia.

Jej szara stonowana sukienka jest... jest...

Nie znajdował słów na określenie tego, co zobaczył. Cały tył sukni pokrywały błyszczące różowe cekiny. I gdzie się podziała duża część spódnicy?

Od pasa w dół widać było głównie siatkowe pończochy i... nogi. Niewątpliwie wyjątkowo zgrabne.

Nie zajmuj się nogami niepokornej pracownicy, zgromił się w duchu Will. W obecnym wydaniu, ze swymi szokująco różowymi włosami, Josie była dokładnym zaprzeczeniem osoby, jakiej potrzebował, by interesy Elmhurst Hall wyprowadzić na prostą.

Ona tymczasem obróciła się do niego przodem i Willowi znowu niebezpiecznie przyspieszył puls. Szara suknia miała z przodu śmiały dekolt, a ozdobny, oczywiście różowy, fartuszek niczego nie zakrywał.

W tym momencie Josie podniosła wzrok i dostrzegła siedzącego w kącie Willa. No nie, to już przekracza wszystko! Nie miała nawet na tyle przyzwoitości, żeby zrobić skruszoną minę. Odwrotnie, na jej twarzy pojawił się triumfalny uśmiešek.

Tego już za wiele. Will poderwał się i paroma susami znalazł się obok niej. Nigdy nie podnosił na pracowników głosu, ale tym razem przestał nad sobą panować.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnął.

Para starszych państwa przy najbliższym stoliku znieruchomiała. Josie popatrzyła nerwowo najpierw na nich, potem na Willa.

- Jak to co? Obsługuję klientów w nowym uniformie. Tak jak kazałeś.

- To ma być uniform, który ode mnie dostałaś?

- Och, trochę go udoskonaliłam. Klientom bardzo się podoba. Od rana słyszę na jego temat same komplementy.

Nie wątpił w to. Tyle że nie o takie powodzenie jego lokalu mu chodziło.

Starsi państwo wrócili do swoich herbat i ciastek, niemniej widać było, że czują się nieswojo. Will chwycił Josie za łokieć i zaprowadził ją do kuchni.

- Au! - pisnęła, wyrywając się i rozmasowując rękę.

Will opanował się na tyle, by ściszyć głos.

- Posłuchaj mnie uważnie, bo nie będę się powtarzał. - Oczy Josie lekko się rozszerzyły. - Nigdy, ale to nigdy więcej nie pokazuj się w herbaciarni w tym... stroju. W magazynie są uniformy na zmianę. Masz się natychmiast przebrać.

Josie nagle odzyskała rezon.

- Natychmiast?

- Tak, natychmiast.

- Teraz? W tej chwili?

- Tak, w tej chwili. Chyba rozumiesz po angielsku?

Patrząc mu prosto w oczy, Josie podniosła rękę do wycięcia zapinanej na guziki sukni. Will dopiero przy trzecim rozpiętym guziku zorientował się, do czego to zmierza.

- Nie teraz, nie tutaj! - wrzasnął, usiłując zakryć jej dekolt połami sukienki.

- Wykonuję tylko twoje polecenie - odparła z niewinną miną.

Alice wybrała sobie akurat ten moment na wejście do kuchni. Objąwszy spojrzeniem dziwną scenę, jaka ukazała się jej oczom, szybko znikła za wahałowymi drzwiami.

Will poczuł nagle pod palcami ciepło ciała Josie, opuścił ręce i zrobił dwa kroki do tyłu.

- Pokornie dziękuję, lordzie Radcliffe - z sarkazmem mruknęła Josie.

- Nie wiem, co chcesz w ten sposób osiągnąć, ale to musi się skończyć.

Zapiąwszy sukienkę, Josie podparła się pod boki.

- Myślisz, że możesz robić z ludźmi, co ci się podoba? To już nie te czasy, lordzie Radcliffe!

- Źle mnie zrozumiałaś. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś się ubierała, jak ci się podoba. Ale nie w pracy. Muszę myśleć o opinii lokalu.

- A ja mogę ją popsuć, to chciałeś powiedzieć?

- Jeśli będziemy robić sobie na złość, na pewno nie wyjdzie mu to na dobre.

- Jakoś bez ciebie też sobie radziliśmy - odparła wyniośle.

- Sama wiesz, że wszystko szło w ruinę.

- Ale Harry...

- Harry nie żyje, Josie. - Były to twarde słowa, których natychmiast pożłował.

Oczy Josie zaszklily się, po jej policzku spłynęła łza.

- Wiem - szepnęła.

- Nie mam fabryki pieniędzy, a remonty są kosztowne.

Jeżeli w ciągu roku nie złapiemy oddechu, wylądujemy na ulicy - powiedział znacznie łagodniejszym tonem.

- Wiedziałam, że interesy źle idą, ale nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo - przyznała Josie.

Will wsunął ręce do kieszeni świeżo kupionych sztruksowych spodni. Dlaczego on mógł za jej radą przebrać się w strój dostosowany do wiejskich warunków, a ona nie potrafi pójść mu na rękę?

- Szkoda czasu na kłótnie - zauważył. - Jeśli chcemy uratować Elmhurst Hall, musimy działać zgodnie.

Josie skinęła głową.

- Zaraz pójde się przebrać.

- Dziękuję, Josie.

Pomimo jej ekscentrycznych strojów i buntowniczej natury nie sposób jej nie lubić, myślał Will, kiedy Josie zniknęła w damskiej łazience. Niemniej, jeżeli jeszcze raz wytnie podobny numer, będą musieli się pożegnać.

Po paru minutach wróciła w beznadziejnie szarej sukience. Faktycznie wyglądała w niej smutno i bezbarwnie.

- Jeżeli tak bardzo ci się nie podoba; wymyślimy inne uniformy - rzekł polubownym tonem, ale zaraz dodał: - Oczywiście nie jakieś ekscentryczne, ale takie, które oboje będziemy mogli zaakceptować.

Josie wyraźnie poweselała. W każdej sytuacji należy dążyć do kompromisu, przypomniał sobie Will. Była to zasada, którą kierował się w sprawach zawodowych.

- Zgoda - powiedziała Josie, podając mu rękę.

Ujmując jej drobną dłoń, zadał sobie pytanie, jakim cudem osoba o tak delikatnej konstrukcji fizycznej potrafi narobić tyle bałaganu.

- Zgoda. - Popatrzył na swoje spodnie. - A teraz powiedz, jak ci się podoba moje nowe wcielenie?

Przyjrzała mu się, przekrzywiając głowę.

- Wyglądasz jak reklama z katalogu strojów wiejskiego dżentelmena.

Harry miał dwie pasje: podróżowanie po świecie i zbieranie pamiątek i kuriozów, które zwoził do domu. Strychy Elmhurst Hall były w rezultacie wypełnione aż po strop przedmiotami w rodzaju średniowiecznych zbroi, tarcz herbowych i rzadkich mebli, wśród których królowało łoże z baldachimem. Podobno spała w nim niegdyś Anne Boleyn.

Josie weszła na strych po chwiejnych skrzypiących schodach. Zwiedzający nie mieli tutaj wstępu dla uniknięcia wypadków. Przedzierając się między pokrytymi kurzem modelami statków i starymi bicyklami, dotarła do części strychu ze starymi zabawkami. Pochyliwszy się nad drewnianym modelem

georgiańskiej siedziby magnackiej, stwierdziła, że malutki ozdobny żyrandol znowu oderwał się od sufitu. Wszystkie zabawki popadały stopniowo w ruinę. Josie starała się je naprawiać.

Umocowawszy urwany żyrandol, wyprostowała się i wyjrzała przez okno. Na dworze panowała typowo kwietniowa pogoda: padał deszcz i wiał wiatr. Hattie poszła do koleżanki na urodzinowe przyjęcie, więc Josie miała wolne popołudnie.

Nagle usłyszała skrzypienie schodów. Nastawiła uszu.

- Cześć, Will, jestem tutaj - zawołała.
- Jak się domyśliłaś? - zdziwił się Will.
- Po prostu wiedziałam - odparła.

Wchodził po schodach równym, starannie odmierzoną krokiem, jakby nie chciał niepotrzebnie tracić energii.

- Co cię tu sprowadziło? - zapytał.
- Wspomnienia. - Wzięła do ręki tajemniczy instrument muzyczny z gładko wypolerowanego hebanu.

- Co to jest?
- Szczególna odmiana klarnetu. Parę razy próbowałam wydobyć z niego dźwięk, ale mi się nie udało.

- Pozwól, ja spróbuję. - Wziąwszy od niej instrument, ze wszystkich sił zadał w ustnik. Dźwięk, który rozszedł się echem po całym strychu, do złudzenia przypominał głośniego bąka. Will zaczerwienił się jak burak, a Josie parsknęła śmiechem, ale zaraz się przestraszyła, czy szef się nie obrazi. On jednak, o dziwo, poszedł za jej przykładem. Jakby się nagle przeistoczył, stracił swoją sztywność.

Odłożył instrument i otarł usta wierzchem dłoni.

- Powiedz mi, dlaczego nie da się z tobą prowadzić zwyczajnej cywilizowanej rozmowy? - zapytał.

- Bo nie jestem zwyczajna ani cywilizowana. Znowu się roześmiał.

Josie przysiadła na stojącej obok drewnianej skrzyni.

- Wiesz co, Will? Muszę ci coś powiedzieć. Na temat Elmhurst.

- Tak?

- Choćby nie wiem jak się starać, sama herbaciarnia nie zapracuje na utrzymanie domu.

- Bardzo słuszna uwaga.

- Uwielbiam tu przychodzić, niemniej wiem, że wszystko, co tu widzisz, te zbierane przez Harry'ego skarby, wszystko to należy teraz do ciebie.

- Nie. Pozostaną na zawsze jego skarbami.

Jeśli dalej będzie się tak zachowywał, pomyślała Josie, gotowa jest rozplakać się ze wzruszenia i rzucić mu się na szyję. Zapomnieć, że powinna zachować dystans. Nie jest dobrze spoufalać się z szefem.

- Harry nie chciałby, żeby jego zbiory niszczały w kurzu i pleśniały. Pomyślałam, że powinniśmy coś z nimi zrobić. Kto wie, może najciekawsze z nich dałoby się wystawić na aukcję. Pewnie poszczególne okazy nie są wiele warte, ale za to jest ich bardzo dużo.

Will oparł się o ścianę, ale zaraz się wyprostował i starannie otrzepał z kurzu rękaw dzinsowej kurtki. W której wyglądał znacznie lepiej niż we wcześniejszym stroju wiejskiego dżentelmena.

- Mam inny pomysł, ale powinien ci się spodobać - powiedział, przechadzając się pomiędzy zapelniającymi pomieszczenie rupieciami. - Parę dni temu przywiozłem tutaj specjalistkę od staroci, która uważa, że jest tu trochę cennych rzeczy. Sugerowała, że jeśli je sprzedawać, to tylko jako osobne zespoły, takie jak kolekcja zabawek, orientalnych mebli, instrumentów muzycznych, i

tak dalej. - Josie słuchała go z uwagą. - Trochę o tym myślałem i przyszło mi do głowy, że można by wiele z tych rzeczy wystawić na miejscu. Oczywiście, jako osobne kolekcje. Na przykład w jednym pomieszczeniu zgromadzić modele statków, sekstansy i inne przedmioty związane w morzem. Co o tym myślisz?

- Fantastyczny pomysł! Harry byłby zachwycony. Ludziom też na pewno się spodoba. - W jej spojrzeniu nie dostrzegł cienia dawnej niechęci ani rezerwy. Było pełne ciepła i sympatii. - Ale gdzie to wszystko wystawić? - dodała, rozglądając się po zapuszczonym wnętrzu.

- Tutaj, na tym strychu. Trzeba go tylko odnowić i zbudować prawdziwe schody.

Cudownie, pomyślała Josie. W ten sposób częśćka Harry'ego pozostanie tu na zawsze.

Łzy wzruszenia napłynęły jej do oczu i mało brakowało, a rzuciłaby się Willowi na szyję i ucałowała go w oba policzki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W piątkowe popołudnia w miejscowej bibliotece panował duży ruch. Josie pchnęła ciężkie drzwi, przepuszczając przodem Hattie, która pobiegła do mieszczącego się w głębi kącika dla dzieci.

Marianne, swoim zwyczajem, prowadziła szeptem ożywioną rozmowę z drugą bibliotekarką, ale na widok Josie obie zamilkły.

- Przyszłaś wymienić książki? - zaszcebiotała Marianne.

- Uhm.

Odłożywszy przeniesione książki na stół, Josie weszła pomiędzy regały. Zdawała sobie sprawę, iż od dawna dostarcza miejscowym plotkarkom materiału do gadania. Wyobrażała sobie, jakie Marianne musi mieć używanie po jej pojawieniu się w Elmhurst Hall. Utytułowana samotna kobieta z dzieckiem - był to dla ciekawskich kumoszek wprost wymarzony temat.

Zajrzała do dziecinnego kącika.

- Nie nudzisz się, żabko? - spytała. Mała pokręciła główką, nie odrywając oczu od książki z obrazkami. - Idę wybrać sobie książkę i zaraz do ciebie wrócę.

Wędrując między regałami w poszukiwaniu lekkiej i relaksującej lektury, dotarła w pobliże stanowiska bibliotekarek. W pewnej chwili nastawiła uszu.

- Ona podobno leci na nowego właściciela Elmhurst Hall - podnieconym szeptem mówiła druga bibliotekarka.

Ona leci na Willa? Co te baby sobie myślą?

- Naprawdę? - spytała Marianne.

- Ale moim zdaniem nie ma szans. Wyobrażasz ją sobie jako panią na Elmhurst? - Obie zachichotały. - Co prawda - ciągnęła Valerie, jeszcze bardziej

ściszając głos, tak że Josie musiała wyteńczyć słuch - Alice widziała na własne oczy, jak się do niej dobierał w kuchni.

- Nie mów! - Marianne aż gwizdnęła. - Ale przecież niemożliwe, żeby się nią na serio interesował. Z jej reputacją, i tymi koszmarnymi różowymi włosami!

Josie nie wytrzymała. Podeszła do stanowiska bibliotekarek, podpierając się pod boki.

- Jak wam nie wstyd rozpowiadać nie oparte na niczym, wymyślone historie! - zawołała. - Przyjmijcie do wiadomości, że nic mnie z lordem Radcliffe'em nie łączy, a w ogóle to nie wasza sprawa.

Odwróciła się i poszła po Hattie.

- Chodź, kochanie, pora wracać.

- Czy mogę zabrać to wszystko do domu? - spytała dziewczynka, podnosząc z krzesła okazały stosik.

Reguły pozwalały wypożyczać tylko cztery książki na tydzień, ale tym razem rozsierdzona Josie miała w nosie przepisy. Skinąwszy głową, zebrała wybrane przez córkę książeczki i ruszyła z nimi do bibliotekarek. Nie była zdziwiona, widząc, że obie znikły bez śladu. Musiała nacisnąć dzwonek, by przywołać inną bibliotekarkę, która postemplowała wypożyczone książki.

Coś podobnego! „Niemożliwe, żeby się nią na serio interesował!” - myślała ze złością, wypadając z biblioteki.

Chłodne powietrze trochę ją otrzeźwiło. Po co się przejmować głupim gadaniem? I dlaczego tak ją ubodło przypuszczenie, że nie zasługuje na kogoś takiego jak Will, skoro ona wcale się nim nie interesuje? Jest zanadto sztywny, zbyt konwencjonalny, zbyt gorliwie usiłuje odtworzyć styl życia, którego ona nie cierpi i od którego stara się trzymać jak najdalej.

A nawet gdyby jej na nim zależało, nie potrafiłby jej docenić. Will nie kieruje się sercem, tylko głową, więc gdyby nawet mu się spodobała, uznałby, że taka partnerka jak ona szkodziłaby jego interesom.

- Mamo, znowu mruczysz po nosem.

- Przepraszam, kochanie.

Co prawda w ciągu ostatnich tygodni Will stał się dla niej kimś bardzo bliskim. Mimo pozorów sztywnego zrzędy był w istocie człowiekiem miłym i godnym zaufania. Bywał nawet dowcipny. Josie zaczęła darzyć go szacunkiem i byłoby jej przykro, gdyby jej obecność popsuała mu opinię.

Lord Radcliffe powinien trzymać się od niej z daleka, bo inaczej miejscowe kumoszki rozszarpiały go na strzępy. Josie wiedziała z doświadczenia, jak bardzo boli, kiedy wszyscy - prasa, własna rodzina, rzekomi przyjaciele - odsądzą człowieka od czci wiary. Nie życzyłaby tego najgorszemu wrogowi, a tym bardziej komuś, kogo szczerze polubiła.

Gdy tego samego dnia późnym popołudniem Will zajrzał do herbaciarni, w lokalu zastał tylko Josie i Hattie. Siedziały przy jednym ze stolików, oglądając nowe książeczki z obrazkami.

- Masz ochotę na następną lekcję szachów? - zapytał, spoglądając z uśmiechem na Hattie.

Josie poderwała się z krzesła, natomiast jej córka energicznie skinęła głową.

- Myślisz, że tym razem cię pokonam?

- Może jeszcze nie dziś, ale pewnie niedługo. - Kiedy wyjmował szachownicę z teczki, Josie zaczęła się oddalać. - Zostań, nie chciałem cię wypłoszyć.

- Przyniosę ci herbatę. Wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężki dzień - odparła, znikając w kuchni.

Jest bardzo obowiązkowa. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby nie przyszła do pracy. Źle ją początkowo oceniał. Zmyliły go pozory. Josie nie jest lekkomyślna ani nieodpowiedzialna, odwrotnie, ciężko pracuje i można na niej polegać. I jest bardzo oddaną matką.

Nadal jednak nie rozumiał, dlaczego wszelkimi sposobami stara się robić zupełnie inne wrażenie. Dlaczego starannie ukrywa, kim naprawdę jest? Komu rzuca w ten sposób wyzwanie?

Nie wiedział nic o jej przeszłości. Gdy próbował jej zadać podchwytliwe pytanie, szybko zmieniała temat. Niemniej musi mieć za sobą ciężkie przeżycia. Los pozostawionej samej sobie ciężarnej nastolatki musiał być niełatwy.

- Will! Twój ruch.

Przywołany przez Hattie do rzeczywistości, przesunął pierwszego lepszego pionka o dwa pola.

Mógł się jedynie domyślać, że głównym problemem Josie, podobnie jak jego, jest potrzeba akceptacji, chociaż każde z nich szuka jej diametralnie odmiennymi metodami. On stara się wymazać wspomnienie rodzinnego upokorzenia, podporządkowując się obowiązującym w wyższych sferach regułom, podczas gdy ona rzuca wyzwanie panującym w świecie zasadom, domagając się uznania jej niepowtarzalnej indywidualności.

Zazdrościł jej po trosze tej samodzielności, wiedział jednak, że w obecnych okolicznościach musi przestrzegać obowiązujących zasad.

Postawiwszy przed nim filiżankę herbaty, Josie ponownie wycofała się do kuchni. Pewnie w herbaciarni był wyjątkowy ruch i doprowadzenie kuchni do porządku zabiera jej więcej czasu niż zwykle. W ogóle jest nieoceniona.

Tymczasem partia szachów dobiegła końca i Hattie z właściwą sobie starannością zabrała się do układania figur w pudle.

- Jutro też zagramy? - zapytała.

- Niestety, muszę jutro wyjechać na cały dzień. - Kiedy to mówił, przyszła mu do głowy pewna myśl. - Josie? Możesz przyjść na chwileczkę?

Wyjrzała zza wahadłowych drzwi i z pewnym wahaniem podeszła do stolika.

- Masz problemy?

- I tak, i nie. Wybieram się jutro do posiadłości Wilmington Manor. Słyszałem, że osiągają tam spore dochody, przyciągają tłumy odwiedzających, więc chciałbym zobaczyć, jak to robią.

- Nic dziwnego, safari to duża atrakcja. Mam nadzieję, że nie zamierzasz wpuścić do naszego parku lwów i tygrysów?

- Tak źle ze mną nie jest - roześmiał się Will. - Ale proponuję, żebyście tam ze mną pojechały.

- Do parku safari? Dlaczego? Po co chcesz nas tam zabrać? - zapytała Josie, nie zważając na to, że Hattie aż podskoczyła z radości.

- Bo potrzebuję kogoś, kto będzie umiał ocenić, co ludzie z rodzinami najchętniej odwiedzają. Jesteście mi potrzebne jako ekspertki.

A poza tym Josie dobrze zrobi jednodniowy odpoczynek. O tym jednak nie wspomniał, bojąc się, by nie pomyślała, że się nad nią lituje. Może zresztą domyśliła się jego ukrytej intencji, lecz radość malująca się na twarzy Hattie ostatecznie przełamała jej opory.

- Przyjadę po was jutro o dziewiątej rano - oznajmił, chowając szachownicę do teczki.

Josie oparła głowę o boczną szybę i przymknęła oczy. Will odwoził je do domu po całodziennej wycieczce. Był to dla niej męczący dzień - wcale nie dlatego, że spędziła wiele godzin na nogach.

Rano wmawiała sobie, że jedzie do Wilmington Manor z poczucia obowiązku. Miała robić notatki i zbierać doświadczenia, które mogłyby pomóc w

prowadzeniu Elmhurst Hall. Niestety, niewiele z tego wynikło. W ciągu całego dnia zapełniła może pół strony notesu.

Josie westchnęła. Mimo jej najszczerzych wysiłków trzymanie się od Willa na odległość było niemal niemożliwe. Choćby z powodu jego bliskiej komitywy z Hattie, która nieustannie łąpała go za rękę, kazała nosić się na barana albo namawiała do wyścigów.

Próbując nie brać w tym udziału, Josie czuła się samotna i wyobcowana. W ogrodach i parku safari roiło się od szczęśliwych rodzin z dziećmi. Byłoby miło mieć kogoś bliskiego, z kim można by dzielić zarówno przyjemności, jak i zmartwienia. Josie nie było obce marzenie o spotkaniu mężczyzny, który pokocha i ją, i Hattie, a w parku Wilmington wymarzony mężczyzna zaczął po raz pierwszy nabierać indywidualnych rysów. Rysów Willa.

Nie rób sobie złudzeń, upomniała się w duchu.

Will chce się za wszelką cenę wkupić w dobre towarzystwo, od którego ona przysięgła sobie trzymać się z daleka. Mają diametralnie odmienne cele w życiu. Zawodowo mogą współpracować, lecz prywatnie wchodziłoby sobie w drogę.

Musiała się zdrzemnąć w ciepłych promieniach popołudniowego słońca.

- Obudź się, jesteśmy w domu - usłyszała, czując, że ktoś delikatnie nią potrząsa.

- Och, przepraszam. - Szybko się wyprostowała. - Nie wiem, jak ci dziękować. Hattie miała cudowny dzień.

- Nie ma za co. - Will był wyraźnie skrepowany.

Byłoby rzeczą naturalną, gdyby go uściskała albo pocałowała w policzek, lecz bała się, by źle tego nie zrozumiał. Więc tylko jeszcze raz mu podziękowała, pomogła Hattie wysiąść z samochodu, powiedziała dobranoc i poszła do domu.

Nakarmiwszy senną Hattie, położyła ją do łóżka. I zaraz potem, gdy zamykając drzwi sypialni małej, usłyszała jej modlitwę, zdała sobie sprawę, jak wielki błąd popełniła, godząc się na dzisiejszą wycieczkę. Hattie mówiła:

- Panie Boże, pamiętasz chyba, jak cię prosiłam, żebyś przypomniiał tatusiowi, że obiecał zabrać mnie do zoo. Nigdy tego nie zrobił, ale Will zawiózł mnie dzisiaj do parku safari. Było super. Lepiej niż w zoo. Jak to dobrze, Panie Boże, że stworzyłeś zwierzęta. No i pomyślałam sobie, że gdyby tatuś nie wrócił z Francji, to może Will mógłby zamiast niego zostać moim tatą? Pomyśl o tym. Twoja Hattie.

Josie osunęła się i usiadła na podłodze.

Nie, nie, tylko nie to. Byłoby okropnie, gdyby Hattie zaczęła traktować Willa jak drugiego ojca. Ona i Will, nawet gdyby był nią zainteresowany, są zbyt różni, by zbudować wspólną przyszłość.

Musi zachowywać się z większą rezerwą. Nie dopuścić do tego, by ich stosunki jeszcze bardziej się skomplikowały. Trzeba odsunąć Hattie od Willa. Na początek położyć kres grze w szachy.

Na jednej z szaf na książki w gabinecie Harry'ego Will znalazł mały mosiężny kluczyk. Otarłszy go z kurzu, położył klucz na biurku. Czy znalazł się tam przypadkiem, czy został celowo ukryty? Na klucz do drzwi albo furtki był stanowczo za mały.

Wzrok Willa padł na stojący pod oknem sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem. Podeszedł szybko i podniósł pokrywę. Parę dni temu odkrył, że jedna szufladka jest zamknięta na klucz.

Okazało się, że właśnie znalazł do niej klucz. Po paru próbach przekreślił go w zamku. Szufladka była zapełniona papierami i dokumentami.

Może tu wreszcie odnajdę rozwiązanie wszystkich problemów Elmhurst: stos akcji albo polisę, tęsknie pomyślał Will. Na dnie szufladki leżała zaklejona koperta.

Wypisany na wierzchu adres upoważniał go do otwarcia starej pożółkłej koperty. Po chwili wyjął z niej złożony na czworo arkusik papieru.

Miał oto przed sobą prawdziwy skarb.

Nie pieniądze, nie akcje, ale coś cenniejszego, bo odnalazł odpowiedzi na pytania, które pozwolą mu zjednoczyć rozczłonkowaną rodzinę. A także, miejmy nadzieję, zyskać jej uznanie.

- Masz, kochaniutka, całą głowę w pajęczynie.

- Już dobrze? - zapytała Josie, przeczesując rękami włosy.

Pani Barrett podeszła bliżej i zdjęła resztkę pajęczyny.

- No, już dobrze. Co robiłaś całe popołudnie?

- Siedzieliśmy z Willem na strychu, przeglądając skarby Harry'ego. Planujemy je wystawić. Will uważa, że będą wielką atrakcją i przyciągną tłumy zwiedzających.

- Will? - obruszyła się pani Barrett.

- Przepraszam, miłościwie nam panujący lord Radcliffe - poprawiła się Josie z przekornym uśmiechem.

Pani Barrett nie odwzajemniła uśmiechu. Po umyciu rąk zajęła się na nowo rozwałkowywaniem ciasta.

- Chciałam zapytać, czy mogłabyś nam pomóc w sobotę wieczorem przy kolacji - powiedziała po chwili.

- W jaki sposób?

- Lord Radcliffe wydaje uroczystą kolację, a Barrettowi znowu coś strzyknęło w krzyżach. Z podawaniem drinków da sobie radę, ale gorzej będzie

z talerzami i półmiskami. Ja też nie jestem już najmłodsza. Przydałaby się dodatkowa para rąk.

Will wydaje kolację? Pracowali na strychu całe popołudnie, ale nawet o tym nie wspomniał. No cóż, łączy ich tylko praca, a nie przyjaźń, co zresztą sama ostatnimi czasy starała się przy każdej okazji podkreślać.

- Miałabym podawać do stołu?

- Byłabym ci bardzo wdzięczna. Barrett nie może się schylać, a mnie też trudno już dzisiaj nosić półmiski po schodach z kuchni do jadalni. Już chyba z piętnaście lat, odkąd ostatni raz mieliśmy w Elmhurst gości.

- A co z Hattie?

- Alice chętnie z nią posiedzi. Zbiera pieniądze na wyjazd do Londynu, chce odwiedzić swojego chłopaka. Lord Radcliffe obiecał, że za wszystko zapłaci.

Josie przyjrzała się pani Barrett formującej ciasto palcami, które nie były już tak sprawne jak kiedyś. Kucharka cierpiała na artretyzm, ale nigdy się nie skarżyła.

- Oczywiście, że wam pomogę. Ucałowała panią Barrett w policzek.

- Dobra z ciebie dziewczyna - z wdzięcznością odparła starsza kobieta.

Will przeszedł się po pokoju, poprawiając krawat.

Ciotka dziwnie chłodno rozmawiała z nim przez telefon. W końcu szansa poznania utraconego krewnego powinna ją ucieszyć.

Na szczęście Barrett wprowadził go w tajniki rodzinnego drzewa genealogicznego.

Dowiedział się od niego, że Beatrice Beaufort jest bratanicą Harry'ego, córką jego najmłodszego brata Edwarda, która wyszła za znanego członka parlamentu, sir Jocelyna Beauforta.

Popatrzył na zegarek. Beatrice i jej dwaj synowie powinni się zjawić lada chwila. Sir Jocelyn nie może przyjechać z powodu ważnych obowiązków publicznych.

Wyjrzał przez okno i zobaczył podjeżdżającą pod główne wejście elegancką limuzynę. Zastanawiając się, jak przyjąć gości, uznał, że najlepiej stanąć przy kominku. Czuł się skrępowany.

Kiedy jednak Barrett otworzył drzwi i do salonu weszła trójka gości, powitał ich radosnym uśmiechem. Beatrice Beaufort pewnie ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę. Chyba nigdy nie grzeszyła urodą, niemniej trudno jej było odmówić godności i swobody bycia. Wpłynęła do salonu niby łabędź, mając po obu bokach synów.

- Witam, lady Beaufort, miło mi panią poznać - powiedział.

Uśmiech zaledwie musnął jej oblicze.

- Witam, Williamie, bardzo mi miło.

Zauważył, że pominęła jego tytuł. Ale może to i lepiej, że od razu zwróciła się do niego po imieniu, uznając go za kogoś bliskiego. Na próżno jednak czekał na zachętę do podobnej bezpośredniości z jego strony.

Następnie powitał synów. Starszy, Piers, zbliżał się do trzydziestki i wyglądał na osobnika, którego świadomości nigdy nie zamąciła żadna poważniejsza myśl. Stephen był dokładną kopią swego brata, kopią o pięć lat od niego młodszą i o parę centymetrów niższą.

Po wymianie oficjalnych grzeczności goście usiedli przed kominkiem.

- No więc opowiedz nam o sobie, Williamie - odezwała się Beatrice wysokim melodyjnym głosem. - Musiałeś mieć bardzo, hm... interesujące życie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Will czuł, że wkracza na pole minowe.

- Nasz adwokat wspominał, że masz coś wspólnego z budownictwem.

Ale na szczęście nie przypominasz budowlańca, w każdym razie z wyglądu - zauważył Piers, rozwalając się w fotelu i puszczając oko do brata.

- No właśnie - przytaknął Stephen. - Zawsze myślałem, że budowlaniec to gość obsypany białym pyłem, w opadających na tyłku spodniach.

Will przymknął oczy i policzył do dziesięciu, by nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. Był wprawdzie w wyższych sferach nowicjuszem, niemniej nawet on wiedział, że tego rodzaju uwagi, zwłaszcza pod adresem gospodarza, nie należą do dobrego tonu.

Zanim jego firma rozwinęła się na tyle, by mógł sobie pozwolić na kosztowne garnitury, w czasach terminowania w zawodzie sam chodził nieraz przy-sypany budowlanym pyłem, chociaż spodnie z pewnością nigdy mu nie opada-ły.

- Prowadzę teraz dużą firmę specjalizującą się w odnawianiu zabytko-wych budowli. Ostatnio odrestaurowaliśmy wille pewnego włoskiego księcia, położoną na jego prywatnej wyspie na jeziorze Garda.

Z twarzy Piersa znikł protekcyjny uśmiešek.

- To musi przynosić niezły zysk - mruknął.

- Nie narzekam.

- A jak się miewa twoja rodzina? - zapytała Beatrice.

Sępy krążą, wypatrując żeru, pomyślał Will. Jeżeli Barrett nie pospieszy się z kolacją, rozszarpia go na strzępy. Niby udają zainteresowanie, a tak na-prawdę szukają sposobu, by go upokorzyć.

- Dziękuję, matka i babka mają się wyśmienicie.

- Babka? Ma na imię Ruby, prawda?

Will przytaknął.

- Czy ona... nadal pracuje? - zapytała Beatrice, rzucając synom znaczące spojrzenie.

Will wolałby, by dawne zajęcie jego babki, którą dziadek poznał, kiedy tańczyła w rozrywkowych lokalach, zostało pominięte milczeniem. To ono przecież stanowiło przyczynę rodzinnego skandalu.

- Jest od wielu lat na emeryturze.

W salonie zapadło krótkie milczenie, po czym Piers i Stephen zaczęli rozważać szanse poszczególnych drużyn w zbliżających się regatach w Henley. Will, który nigdy tego rodzaju wydarzeń nie śledził, został automatycznie wyłączony z rozmowy.

Wstał z kanapy i usiadł obok Beatrice na krześle.

- Muszę przyznać, Williamie, że robisz wrażenie dobrze wychowanego młodego człowieka. Ale musisz zrozumieć, że po wiadomym skandalu twoja osoba może budzić w rodzinie poważny niepokój.

Beatrice wcale nie wyglądała na poważnie zaniepokojoną, niemniej Will rozumiał, co chciała powiedzieć. Obawiali się, by nie okazał się takim samym nonkonformistą jak jego dziadek.

- W pełni zdaję sobie sprawę z obowiązków, jakie nakłada na mnie moja obecna pozycja - odparł.

- Musisz bardzo uważać, Williamie, z kim się zadajesz - dodała Beatrice, odstawiając kieliszek.

- Przyznasz chyba, Beatrice - zaczął Will, uznawszy, że skoro ona mówi mu po imieniu, on może odwzajemnić się tym samym - że rozłam w rodzinie trwa już zbyt długo. Mam nadzieję, że dzisiejsza kolacja położy temu kres.

W tym momencie w drzwiach stanął Barrett i oznajmił, że kolacja jest gotowa.

- Za wcześnie o tym mówić, Williamie - swoim melodyjnym głosem oświadczyła Beatrice. - Będziemy ci się uważnie przyglądać.

Josie przejrzała się w kuchennym lustrze. Miała na sobie nowy strój z herbaciarni, który składał się z białej bluzki i prostej popielatej spódnicy.

Różowe włosy ukryła pod sięgającą do połowy pleców czarną peruką ze spadającą na czoło grzywką.

Josie wiedziała, że „podającej” do stołu nie wolno zwracać na siebie uwagi, a pani Barrett dała jej do zrozumienia, że Willowi bardzo na tej kolacji zależy.

- Zakąski gotowe, kochanie - powiedziała kucharka.

- Ja też - odparła, odwracając się z uśmiechem od lustra.

Niosąc ciężką tacę, zaczęła się wspinać po wąskich krętych schodach, uważając, by się nie potknąć. Zbliżywszy się do otwartych drzwi jadalni, usłyszała szmer głosów. Dobrze przynajmniej, że nie ma zbyt wielu osób.

Jednakie stanąwszy w drzwiach, dosłownie osłupiała. Z wrażenia potknęła się i talerzyki ze szczękiem przesunęły się na skraj tacy. Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę.

Że też Will musiał zaprosić właśnie ich! Jej rodzice byli blisko zaprzyjaźnieni z klanem Radcliffe'ów. Do tego stopnia, że Harry został jej chrzestnym ojcem.

Josie dobrze знаła Beatrice, która w snobizmie i uwielbieniu dla arystokratycznych reguł postępowania w niczym nie ustępowała jej własnej matce. Dwaj młodzi Beaufortowie byli tacy sami jak mamusia. Swoje posady zawdzięczali wyłącznie koneksjom ojca. Zdani na własne siły, nie umieliby nawet zarobić na życie.

Z nisko pochyloną głową podeszła do kredensu i odstawiła tacę, po czym szybko rozniosła talerzyki z przystawką, mając nadzieję, że nie zostanie rozpoznana.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że na kolacji będzie ta koszmarna Beatrice ze swoimi dwoma nicponiami? - zwróciła się z pretensją w głosie do pani Barrett po powrocie do kuchni.

- Wołałam cię nie uprzedzać - odparła kucharka, zaglądając do piekarnika.

- No wiesz! Nie sądziłam, że stara wierna służąca potrafi być taka dwulicowa.

Ścierka, przez którą kucharka trzymała gorącą brytfannę z piekącą się kaczką, poleciała w jej kierunku.

- Tylko nie stara!

Josie parsknęła śmiechem.

- Czy powiedziałaś Willowi, że Beatrice liczyła na to, że tytuł i posiadłość przypadną Piersowi?

- Jakżebym śmiała! To nie moja rzecz.

A więc biedny Will o niczym nie wie. Dobrze pamiętała minę Beatrice na pogrzebie Harry'ego. Niby udawała żal, ale nie potrafiła ukryć zadowolenia. Była pewna, że Piers odziedziczy tytuł wraz z rodową posiadłością. Ale musiała się wściekać, kiedy adwokaci odnaleźli nieznanego kuzyna!

Piers był strasznym arogantem, choć niepozbawionym wdzięku. Poza tym był zerem, o czym Josie miała okazję się przekonać podczas szaleństw w gronie rówieśników, kiedy oboje byli nastolatkami.

- Do roboty, panienko, nie czas na rozmyślania. Trzeba podawać zupę. Podaj mi z łaski swojej tę dużą wazę ze złotą obwódką - przywołała ją do porządku kucharka.

- Już się robi.

Kilka minut później wносиła ciężką wazę na schody. Przed wyjściem z kuchni naciągnęła grzywkę peruki niżej na czoło. W salonie odstawiła wazę na kredens. Barrett nalewał zupę, a ona roznosiła talerze.

Katastrofa nastąpiła przy trzecim talerzu, przeznaczonym dla Stephen. Stawiając go na stole, zanadto się pochyliła, ciężka peruka przekrzywiła się i pasmo ciemnych włosów wylądowało w zupie.

Usłyszała, jak Will krztusi się winem.

Ostrożnie wyciągnęła nasączony zupą kosmyk.

- No nie, coś podobnego! - wykrzyknęła Beatrice.

Josie podniosła oczy i zerknęła niepewnie na siedzącego po przeciwnej stronie stołu, zanoszącego się śmiechem Piersa. Nagle jego twarz zamarła.

- Niemożliwe! Josie, to ty? - wykrzyknął.

Słyszając to, jego brat odwrócił się w jej stronę i wyciągnął rękę. Josie miała ochotę trzepnąć go w łapę, ale powstrzymała się ze względu na Willa. Stephen tymczasem ujął fatalne pasmo włosów i pociągnął, a peruka zsunęła jej się z głowy i spadła na podłogę.

W jadalni zapadła cisza. Josie popatrzyła na Willa. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Ciszę przerwała Beatrice.

- Josephine! Słyszałam, że nie najlepiej ci się wiedzie, ale nie przypuszczałam, że... że zostałam służącą.

W Josie zawrzała krew.

- Nie jestem służącą. Robię to tylko przez uprzejmość - odparła z godnością.

- To wzruszające! - zaśmiała się Beatrice.

Josie podniosła perukę z podłogi i znowu zerknęła na Willa, który uniósł lekko brwi, jakby pytał: To wy się znacie?

Przygryzając wargi, nieznacznie skinęła głową. Uznała, że najlepiej zrobi, wracając do kuchni.

- Przepraszam, nie będę dłużej przeszkadzać - wymamrotała, kierując się ku drzwiom.

- Nie uciekaj, Jo. Jeśli dobrze pamiętam, kiedy widziałem cię po raz ostatni, miałaś fioletowe włosy - wtrącił Piers.

No tak, Piers może i jest nieudacznikiem, ale nieomylnie wie, jak można człowieka zranić. Beatrice nie pozostała w tyle.

- Ależ tak, usiądź z nami, Josephine. Josie zatrzymała się w pół kroku. - Will?

Wskazał jej gestem wolne krzesło. Z jego twarzy nie potrafiła wyczytać, czy rzeczywiście chce, by została, czy po prostu nie umie im się przeciwstawić.

Usiadła ze spuszczoną głową, nadal trzymając w ręce nieszczęsną perukę. Zaraz jednak zabrała ją z jej kolan dłoń w białej rękawiczce.

- Dziękuję Barrett - szepnęła, podnosząc wzrok. Spojrzenie, jakie jej rzucił stary sługa, mówiło: „Trzymaj się, Josie!”.

Wiedziała, że będą się nad nią znęcać, ale przynajmniej dadzą spokój Willowi, który niczym sobie nie zasłużył na ich docinki. Ona to co innego. Miała na sumieniu dawne błędy i była gotowa ponieść ich konsekwencje.

Natomiast on nigdy nie zboczył z prostej drogi i byłoby niesprawiedliwe, gdyby padł ofiarą szyderstw tych podłych ludzi.

Gdy tylko Barrett postawił przed nią talerz zupy, Piers przystąpił do ataku.

- Przypomnij mi, Jo, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? - zapytał. „Jo”. Zdrobnienie należące do dawno minionej epoki.

- Już sobie przypominam. To musiało być na przyjęciu z okazji osiemdziesiątych urodzin Amandy Fossington - zaśmiał się Piers. - To chyba tamtego wieczoru przesadziłaś z piciem i zostałaś aresztowana, prawda, Jo?

Josie poczuła, że oblewa się rumieńcem. Wbiła oczy w talerz zupy. Dłoń, w której trzymała łyżkę, niebezpiecznie drżała. Nie była w stanie spojrzeć Willowi w oczy.

W tamtych minionych czasach była rozpuszczoną i zbuntowaną smarkulą, usiłującą za wszelką cenę zapomnieć o swoich kompleksach.

- Dobrze wiesz, Piers, jak było.

- Zdaje się, że nazwali to zakłócaniem porządku pod wpływem alkoholu - ciągnął Piers. - Kiedy policjant wsadzał cię do samochodu, kopnęłaś go w łydkę. Wszyscy zrywaliśmy boki ze śmiechu.

Pamiętała, jak się czuła, budząc się rano w areszcie z koszmarnym bólem głowy. Umierała ze wstydu. Do czego, rzecz jasna, nigdy się nie przyznała swoim towarzyszom pijackich zabaw.

- To było dawno temu - odparła.

Piers wydał z siebie pełne zadowolenia westchnienie.

- A najgorsze, że reporterowi z jednego z tabloidów udało się strzelić ci fotkę, kiedy policjant wpycha cię do samochodu z zadartą do pasa spódnicą.

Josie zamknęła oczy. Wspomnienie tamtego zdjęcia do dziś prześladowało ją w koszmarnych snach. Przez kilka następnych dni miała wrażenie, że cały Londyn mówi wyłącznie o kolorze jej majtek.

- Jak cię wtedy ochrzciły tabloidy?

- Lady Daj-Daj - usłużnie podpowiedział Stephen i obaj bracia parsknęli głośnym śmiechem.

- Lady, hm, to... ty? - nagle wyrwało się Willowi.

O mój Boże! Więc on też to wszystko czytał. Do tej pory miała cichą nadzieję, że Willa albo nie było wtedy w kraju, albo czytywał jedynie gazety w rodzaju „Financial Timesa”. Czy teraz, kiedy tajemnica się wydała, będzie chciał nadal z nią pracować? A tak jej zależało na jego opinii! Fakt, iż był pierwszym człowiekiem, który w nią uwierzył, znaczył dla Josie sto razy więcej niż cała fortuna jej ojca.

Piers zaniósł się jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Więc on o niczym nie wie? Co za pyszna historia!

Josie podniosła oczy na Willa. Myślała, że potrafi znieść najgorsze szyderstwa, w końcu niejedno już przeżyła z powodu swojej dawnej lekkomyślności i sądziła, że jest wystarczająco uodporniona. Więc dlaczego teraz z trudem powstrzymuje cisnące się do oczu łzy?

- Nie, Will, nie jestem tą kobietą. Kiedyś taka byłam, ale to minęło - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Will miał jeszcze w uszach szyderczy śmiech Piersa. Nie był w stanie tego ogarnąć. Kłamała. No, może nie kłamała, ale dawała mu do zrozumienia... Nie, to też nieprawda. Więc dlaczego czuje się oszukany? Zdruzgotany tym, że mu nie zaufała?

Okazuje się, że Josie należy do świata, do którego on tylko aspiruje. Nawet jeśli tę swoją przynależność lekceważy. Niemniej zna tych ludzi, zna zasady, którymi się kierują. Przekonanie, iż ma obok siebie bratnią duszę, która podobnie jak on czuje się w tym obcym świecie jak ryba wyjęta z wody, dodawało mu do tej pory otuchy.

Poczuł się okropnie samotny. I głęboko dotknięty.

Ta kobieta w jednej chwili obróciła jego zamiary w proch i pył, pogrzebała nadzieję na to, że zrobi na rodzinie dobre wrażenie. Jest chodzącą katastrofą.

Aprobata rodziny była mu potrzebna. Nie tylko po to, by zyskać poczucie przynależności, poczuć się częścią szerszej wspólnoty. Wydając dzisiejszą kolację, miał też na względzie całkiem praktyczne cele. Bo otrzymał wprawdzie Elmhurst Hall wraz z tytułem, ale nie dysponował znajomościami i stosunkami w towarzyskich kręgach, a te były niezbędne, aby wyprowadzić interesy posiadłości na prostą. Jeśli zechcą, z łatwością mogą mu zaszkodzić. To był drugi powód, dlaczego zależało mu na dobrych stosunkach z tymi ludźmi.

Nagle ogarnęła go złość. Gwałtownie odsunął talerz. Co oni sobie myślą? Od pierwszej chwili usiłują mu dopiec, a teraz znęcają się nad Josie. W innej sytuacji nie zależałoby mu na przychylności tego rodzaju ludzi.

Zarazem był wstrząśnięty tym, czego dowiedział się o Josie. No tak, ale fakt, że miała burzliwą przeszłość, nie usprawiedliwia takiego pastwienia się nad nią.

Rozejrzył się wokół stołu. Jego goście, bardzo z siebie zadowoleni, najspokojniej w świecie raczyli się zupą. Josie natomiast siedziała nieruchomo z oczami wbitymi w obrus.

To, jak się teraz zachowa, zaważy w decydujący sposób na jego stosunkach z całą rodziną. Ze sposobu, w jaki potraktowali Josie, łatwo było odgadnąć, jaka kara czeka każdego, kto zasłuży na ich potępienie.

Kiedy Barrett podszedł do stołu i zaczął zbierać opróżnione talerze, Josie posłała Willowi spojrzenie pełne niemej prośby. Widziała, jak przy każdym pochyleniu się przez twarz starego kamerdynera przebiega skurcz bólu. Wreszcie nie wytrzymała.

- On ma uszkodzony kręgosłup, muszę mu pomóc - powiedziała, zrywając się z krzesła.

Goście Willa byli zbyt pochłonięci rozmową, by zwrócić na nią uwagę. Zrobili, co chcieli, i już jej nie potrzebowali. Will patrzył w milczeniu, z jaką godnością sponiewierana Josie zbiera resztę talerzy i wychodzi z jadalni.

Scena, która rozegrała się przed chwilą na jego oczach, uprzytomniła mu, co musiał przeżywać jego dziadek, kiedy rodzina wykluczyła go ze swego grona. Ktoś powinien tym ludziom uświadomić, że tym razem podobne zachowanie nie ujdzie im na sucho.

- To, jak potraktowaliście Josie, było w najwyższym stopniu okrutne i niegodne - powiedział, lekko podnosząc głos.

Beaufortowie nagle zamilkli. Beatrice roześmiała się.

- Nie żartuj, drogi Williamie - rzekła. - Josephine z własnej woli postawiła się poza nawiasem. Tacy jak ona tracą wszelkie prawa. Sam się o tym wkrótce przekonasz.

Will, niewiele myśląc, podniósł się na nogi.

- Rozumiem, ale osobiście nigdy takich zasad nie zaakceptuję - odparł.

Beatrice zdjęła z kolan serwetkę, złożyła ją i położyła na stole.

- Tego się obawiałam - oświadczyła. - Jesteś i pozostaniesz prostakiem, choćby ci przyznano nie wiedzieć ile tytułów.

- W takim razie, lady Beaufort, nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Jestem zmuszony poprosić o natychmiastowe opuszczenie mego domu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po umyciu naczyń Josie wypuściła brudną wodę ze zlewu i wytarła ręce w kuchenny ręcznik. Jeśli chodzi o nowoczesne kuchenne udogodnienia, Elmhurst Hall nie wkroczył jeszcze w XXI wiek.

Josie popatrzyła na panią Barrett. Wyczerpana gotowaniem kucharka powoli sączyła herbatę. Jeśli Will zamierza często przyjmować gości, będzie musiał zatrudnić kogoś do pomocy.

Rozwiesiwszy mokrą ścierkę, powiedziała sennej pani Barrett dobranoc.

Szła wolnym krokiem przez park do swego przytulonego do ogrodowego muru, zbudowanego z kamienia domu. Była to mała i ciasna, niezbyt wygodna budowla, lecz zajmująca ją od sześciu lat Josie po raz pierwszy w życiu czuła się tutaj jak w domu.

Stanąwszy przed furtką do ogrodu, spojrzała na zegarek. Dopiero dziesiąta. Josie zapragnęła побыć przez chwilę w samotności i odetchnąć świeżym powietrzem. Mogła sobie na to pozwolić, bo Alice miała pilnować Hattie do jedenastej. Ruszyła w głąb ogrodu.

Było ciemno, księżyc krył się za chmurami, ale Josie znała na pamięć wszystkie ścieżki. Skierowała się w swój ulubiony zakątek. Wyciągnąwszy rękę, upewniła się, że żywopłot się skończył i znalazła się na polance, gdzie stała porośnięta mchem ławka.

Wymacała ją i usiadła. Wyciągnąwszy przed siebie zmęczone nogi, podniosła głowę i zapatrzyła się w niebo.

Jej oczy oswajały się powoli z mrokiem, a ona sama coraz bardziej się odprężała. Po paru minutach usłyszała cichy trzask łamanej gałązki i pomyślała, że pewnie w sąsiedztwie buszują króliki, lecz zaraz potem ktoś cicho zaklął.

A ponieważ króliki na ogół nie przeklinają, nie miała wątpliwości, kto oprócz niej znajduje się w ogrodzie.

- Will? - Odpowiedział jej nieokreślony pomruk. - Will, gdzie jesteś?

Odezwił się - zawołała ponownie.

- Tu jestem.

Pewnie wpadł na jedną z ławek stojących nieco dalej pod żywopłotem.

- Nic sobie nie zrobiłeś?

- Nic, tylko trzasnąłem się w łydkę. - Jęknął głośno. - Wszystko było dobrze, dopóki świecił księżyc.

- Nie ruszaj się, zaraz do ciebie przyjdę.

Obmacując na wszelki wypadek gałęzie rosnących po prawej stronie cisów, dotarła do miejsca, gdzie powinna się znajdować następna ławka. Kiedy jednak wyciągnęła rękę, chcąc wymacać jej oparcie, natrafiła na coś jedwabistego.

- Oj, przepraszam! - wykrzyknęła, zdając sobie sprawę, że zagłębiła palce w jego włosach. - Myślałam, że to ławka - dodała, zła na siebie, że przez swoją niezręczność mogła mu dodatkowo popsuć humor po nieudanej kolacji.

Will coś mruknął. Nie miała pojęcia, w jakim może być nastroju. Nawet rozmawiając z nim w jasny dzień, trudno było czasami odgadnąć, co naprawdę myśli, a co dopiero w egipskich ciemnościach, nie widząc wyrazu jego twarzy.

Zrobiła ostrożnie dwa kroki, by przypadkiem nie usiąść mu na kolanach, po czym usadowiła się na drugim końcu ławki. Zapadło milczenie. W otaczającej ich ciszy słychać było tylko ich oddechy. Po paru minutach milczenia Josie nie wytrzymała.

- Często tutaj zagładasz? - spytała, podciągając nogi i siadając po turecku.

- Jak ty to robisz?

- Co masz na myśli?

Nie widząc go, czuła, że Will kieruje na nią jedno z tych swoich karzących spojrzeń.

- Nie rozumiem, dlaczego w każdej sytuacji najpierw zastanawiasz się, co należałoby powiedzieć, a potem mówisz coś wręcz odwrotnego - rzekł z pretensją w głosie.

- Och, to taki mój szczególny dar - odparła.

Teraz na pewno pokręcił głową.

- Pochodząc z takiej rodziny, powinnaś umieć się zachować. No i pięknie dziękuję za okazane mi zaufanie.

- Och, pewnie, że umiem się zachować. Po prostu zwykle nie biorę tego pod uwagę. - Zrobiła pauzę. - Jesteś na mnie zły?

- Tak.

- Jakie to ma znaczenie, kim są moi rodzice i gdzie się wychowałam?

- Skoro to nie ma znaczenia, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

Czy on musi zawsze myśleć logicznie? Nie powiedziała mu, bo wstydziła się swojej przeszłości.

- Jestem, jaka jestem. Jak się komu nie podoba, to jego sprawa. A w ogóle, skąd u ciebie ten snobizm na opak? Dopóki myślałeś, że w hierarchii społecznej stoję o wiele niżej niż ty, byłam dość dobra na to, żeby zapraszać mnie do parku safari, a jak się okazało, że niczym pod tym względem ci nie ustępuję, masz nagle muchy w nosie!

- To nie tak! - zaprotestował z nieskrywaną złością. - Myślałem, że należymy do tego samego gatunku.

- Ależ należymy! Oczywiście, pomijając moje różowe włosy. Ja też jestem istotą ludzką. No, prawie.

Usłyszała, że Will powstrzymuje śmiech.

- Więc to ty jesteś lady... hm.

- Uhm.

- Z czego by wynikało, że twój ojciec to...

- Ile razy trzeba ci powtarzać, że to, kim są moi rodzice, nie ma najmniejszego znaczenia? Jestem po prostu sobą.

- Tego faktycznie nikt nie może ci odmówić - z ledwo zauważalnym sarkazmem odparł Will.

Spuściła oczy na swoje niewidoczne w ciemności ręce.

- Przepraszam, że popsułam ci dzisiejszą kolację.

- Jestem na ciebie zły za to, że mi nie zaufałaś. Nie dałaś mi szansy. Z góry założyłaś, że muszę cię potępić za dawne wybryki.

To prawda, przyznała w duchu. On tymczasem podjął po chwili jeszcze bardziej poirytowanym tonem:

- Gdybym wiedział, nigdy bym się nie zgodził, żebyś pomagała Barrettom przy kolacji. Nigdy bym cię nie postawił w tak niezręcznej sytuacji.

Czyżby Will miał wobec niej opiekuńcze odruchy?

- Skąd mogłam wiedzieć, że zaprosisz właśnie ich? Nie wtajemniczyłeś mnie w swoje plany, więc nie tylko przeze mnie Beatrice będzie teraz na ciebie jeszcze bardziej cięta.

- Ech! - ciężko westchnął Will. - Wszyscy troje od pierwszej chwili odnosili się do mnie z demonstracyjną niechęcią. Jakby nie zdawali sobie sprawy, że od skandalu z moim dziadkiem upłynęło pół wieku.

Ktoś musi mu wreszcie uświadomić, o co w tym wszystkim chodzi, uznała Josie.

- Widzisz, Will, oni wszyscy myśleli, że tytuł przypadnie innemu członkowi rodziny. A potem ty się odnalazłeś. Komplikacja polega na tym, że zgodnie z ustaloną wieki temu zasadą w braku bezpośredniego męskiego potomka tytuł lorda Radcliffe przechodzi na linię żeńską.

- Ale przecież jestem bezpośrednim męskim potomkiem.

- Tylko że nikt z rodziny nie miał pojęcia o twoim istnieniu. Harry, najstarszy z trzech braci, umarł bezpotomnie, a następnym w kolejności byłby twój dziadek William, o którym wiadano jedynie, że miał jednego, wcześniej zmarłego syna. Wiadomość, że przed śmiercią zdążył się ożenić i spłodzić syna, była dla nich zaskoczeniem. Jak wiesz, najmłodszy z trzech braci, czyli Edward, nie zostawił męskiego potomka. Do czasu twojego pojawienia się rodzina była przekonana, że tylko jego córki mogą się pochwalić wnukami, a najstarszą z nich jest...

- Beatrice.

- Otóż to.

- No tak. I spodziewała się, że to ona odziedziczy tytuł razem z Elmhurst Hall. Nic dziwnego, że jest na mnie wściekła.

- Sprawa jest jeszcze bardziej zawiła. Bo kobieta może tylko przekazać tytuł swemu męskiemu potomkowi, sama nie ma do niego prawa, więc tytuł przypadłby Piersowi.

- Czyli nie miałem u nich od początku cienia szansy.

- Na to wygląda - przyznała Josie. - Co nie znaczy, że się z tobą w końcu nie pogodzą. Jeżeli uznają, że można cię jednak zaakceptować.

- Ale ja nie jestem pewien, czy potrafię zaakceptować ich. Po tym, jak cię obrazili, wyprosiłem ich z domu.

Josie nie miała o tym pojęcia. Sądziła, że to Beaufortowie poczuli się obrażeni i z własnej woli wyszli przed końcem kolacji.

- Wyrzuciłeś ich za drzwi? Z mojego powodu? - spytała cicho.

- Tak.

Jeszcze nikt nigdy tak zdecydowanie nie stanął w jej obronie.

- Chociaż skompromitowałam cię w ich oczach?

- Nikogo nie skompromitowałaś. To oni zachowali się nie na poziomie. Ty zachowałaś się jak dama.

Rzecz dziwna, przyrównanie jej do damy, które normalnie wprawiłoby Josie w furję, tym razem sprawiło jej przyjemność.

- Kto wie, czy Piers nie okazałby się lepszym gospodarzem Elmhurst Hall niż ja - podjął Will po krótkiej chwili zrezygnowanym tonem.

- Piers? Ten nieudacznik? W parę lat doprowadziłby posiadłość do ostatecznej ruiny! - Josie zwróciła się ku niemu, opierając na ławce lewe kolano. - A ty jesteś równoprawnym członkiem rodziny.

- Ale nim się nie czuję. Nie wychowałem się w pałacu.

Mówiąc te słowa, w niczym nie przypominał pewnego siebie opanowanego Willa, którego Josie dotąd знаła. Musi mu w jakiś sposób poprawić nastrój.

- Ożenisz się z miłą, dobrze wychowaną panią i wszystko będzie dobrze - powiedziała, przysuwając się jeszcze bardziej w jego stronę.

- Co ma z tym wspólnego dobrze wychowana panią?

- A to, że jeśli się w porę nie ożenisz i nie spłodzisz syna, wszystko i tak dostanie się Piersowi. Jeśli chcesz mojej rady, to powinieneś jeszcze raz zaprosić ich na kolację. - Will, całkiem nieoczekiwanie, wybuchnął głośnym śmiechem. - Co cię tak rozbawiło?

- Przepraszam, ale... Bardzo cię przepraszam, ale przypomniałem sobie, jaką miałaś minę, kiedy przekrzywiła ci się peruka i wylądowała w zupie. Szkoda, że nie mogłaś tego zobaczyć.

Josie bynajmniej nie było do śmiechu. O incydencie z peruką i o tym, co nastąpiło potem, wolałaby zapomnieć. Will szybko się opanował.

- Wiem, to nie było zabawne - przyznał. - Tak bardzo chciałem zrobić na nich dobre wrażenie. Zawsze marzyłem o licznej rodzinie.

- Lepiej ci będzie bez nich.

- Tak jak tobie? Dlatego prowadzisz herbaciarnię, farbujesz włosy na różowo i nosisz wyzywające stroje?

- Powiedzmy, że tak wolę. Przynajmniej jestem wolna. Usłyszała, że Will poprawia się na ławce.

- Nie, nie jesteś wolna.

- Jak to nie? - oburzyła się.

- Robisz, co możesz, żeby zaprzeczyć wszystkiemu, czego domaga się twoja rodzina i całe to środowisko. A to nie jest wolność, tylko bunt.

Josie poderwała się z ławki.

- Głupstwa gadasz! Powtarzasz komunały, którymi posługują się ci, którzy chcieliby zmusić człowieka do konformizmu!

- No, no - zauważył Will po krótkim milczeniu. - Myślałem, że tylko rude kobiety są porywcze i pełne temperamentu. A tak między nami, czy nie uważasz, że jesteś trochę za dorosła na farbowanie się na różowo?

Josie opadła na ławkę. Czowała się, jakby wypuszczono z niej powietrze.

- Mam dopiero dwadzieścia cztery lata - odparła z godnością. - Nie wiedziałam, że można być sobą tylko do pewnego wieku. Może tylko do czterdziestki?

- Nie mam pojęcia. Sam mam dopiero trzydzieści pięć.

- To dlaczego zachowujesz się jak własny dziadek?

- Aluzję zrozumiałem. Maluj sobie włosy na wszystkie kolory tęczy. Ale radziłbym na przyszłość unikać noszenia peruki.

- Dziękuję za dobrą radę.

Położył rękę na oparciu ławki. Usłyszała, że znowu przesuwa się w jej stronę.

- Po kolacji wyszedłem do ogrodu, bo przypomniał mi się dziadek - dodał. - Opowiadał mi kiedyś, że kiedy przyjeżdżał tutaj jako dziecko, uwielbiał wspinać się po drzewach i podkradać jabłka.

- Takie obyczaje u panicza? - roześmiała się.

- O, to jeszcze nic.

- Opowiedz mi o nim. Harry nie lubił wracać do tamtych spraw - poprosiła. Wyciągnęła lewą rękę, która natrafiła na jego dłoń, ale ręki nie cofnęła.

- Podczas wojny służył w RAF-ie - zaczął Will po namyśle. - Niewiele opowiadał o swoich wojennych przeżyciach, ale wszyscy mówili, że bardzo się zmienił. Zapragnął czerpać z życia pełnymi garściami.

Josie dobrze знаła to pragnienie. I wiedziała, że świat lubi karać tych, którzy chcą z życia zaczerpnąć zbyt wiele.

- Co takiego zrobił?

Dobrze wiedziała, czym można się narazić rodzinie. Jej wprawdzie nie wydziedziczono. Mogła w każdej chwili wrócić do domu, gdyby zgodziła się przestrzegać ustalonych reguł.

- Co zrobił? Zakochał się.

- To chyba jeszcze nie zbrodnia?

- Dla ciebie nie - przyznał. - Ale w tamtych czasach klasowe kryteria były wciąż bardzo surowo przestrzegane. Pewnych rzeczy po prostu „się nie robiło”.

- Przedstawiciel wyższych sfer chyba też miał prawo się zakochać?

- Ale nie w tancerce z nocnego lokalu.

- Aha!

- Nikt nie miałby mu tego za złe, gdyby wyszumiał się w jej ramionach, a potem znalazł sobie odpowiednią narzeczoną. Tymczasem dziadek zdecydował się na małżeństwo z ukochaną kobietą. Tego rodzina nigdy mu nie wybaczyła. A on nigdy się nie pokajał.

- Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby Harry pogodził się z ostracyzmem, jaki spotkał jego brata, i nie próbował się z nim pojednać. To zupełnie do niego nie pasuje.

- Mnie też trudno było to zrozumieć, ale dwa tygodnie temu natrafiłem w jego gabinecie na list, który wszystko wyjaśnia.

- Jaki list?

- Miłosny. Napisany jego ręką, którego najwidoczniej nie zdecydował się wysłać. Wyznaje w nim miłość kobiecie, pisząc zarazem, że jego rodzina nigdy nie wyrazi zgody na ich małżeństwo. Czytając ten list, byłem głęboko poruszony. Kobieta, do której był adresowany, najprawdopodobniej nie wiedziała o jego uczuciach.

- Jakie to smutne. I wyjaśnia, dlaczego nigdy się nie ożenił. - Josie zamyśliła się. - Może dlatego stale podróżował. Żeby zapomnieć.

- Ale to nie wszystko - po krótkim milczeniu dodał Will, poprawiając się na ławce. - List jest adresowany do Ruby Coggins. Czyli do mojej babki.

- Do twojej babki?

- Dziadek i babka tworzyli osobliwą parę - podjął Will. - On zawsze w nienagannym garniturze, bardzo powściągliwy, ona obwieszona krzykliwą biżuterią, śmiejąca się o wiele za głośno z jego dowcipów. Ale to, jak na siebie patrzyli... - Will westchnął, nie kończąc zdania.

- Dwaj bracia zakochani w jednej kobiecie. To nigdy nie wróży nic dobrego - rzekła Josie. - Niemniej nadal nie rozumiem, dlaczego Harry nie próbował się ze swoim bratem pojednać.

- Próbował. Niestety za późno. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszedłem do babki z wizytą i zastałem ją we łzach. W rękach trzymała list od Harry'ego z pytaniem, czy może ich odwiedzić. Odpisała, że może odwiedzić Williama na cmentarzu. Miałem piętnaście lat, kiedy dziadek zmarł.

Josie ścisnęło się serce. Co za tragedia! Tyle smutku i rozpacz dla wszystkich jej uczestników.

- Harry musiał mieć poczucie winy i dlatego nigdy o tym nie wspominał. Powinien był wcześniej odezwać się do brata. A ty odzyskałbyś kontakt z rodziną i poznał swoich kuzynów. Czy twoi rodzice rozmawiali na ten temat?

- Bardzo rzadko. Mama była córką miejscowego rzeźnika i całe te arystokratyczne komeraże niewiele ją obchodziły. A ojca straciłem siedem lat wcześniej niż dziadka.

- Och, Will, strasznie mi przykro - wyszeptała Josie, kładąc rękę na jego ramieniu.

- Sam był sobie winien. Wbił sobie do głowy, że musi odzyskać rodzinną fortunę.

- I co?

- Przegrał w pokera nasz dom, upił się z rozpacz, wpadł do kanału i utopił się.

Biedny Will! Zaczynała rozumieć, skąd u niego to przywiązanie do tradycyjnych form, konwencjonalnych ubiorów i poprawnego zachowania. Bo miał w swoim odczuciu do odrobienia pomyłki trzech pokoleń swoich przodków.

Jak go przekonać, że nie musi niczego udawać, by dowieść własnej wartości?

Czułym gestem przyciągnęła go do siebie. W pierwszym odruchu zeszywniał, lecz po chwili poczuła, że obejmuje ją w pasie. Położyła mu głowę na ramieniu.

Długo trwali w ten sposób w ciemnościach, nic nie mówiąc. Josie zdała sobie sprawę, od jak dawna żaden mężczyzna jej nie obejmował. Było jej tak dobrze, tak bezpiecznie.

Co nie znaczy, że podobna sytuacja ma się powtarzać. Doszło do niej, ponieważ Will przeżył ciężki wieczór i otworzył przed nią serce. Ale trzeba temu położyć kres. Za chwilę. Kłopot w tym, że nie bardzo wiedziała, czy naprawdę chce się od niego oderwać.

- Więc mam do czynienia z lady Josephine - mruknął Will. - Powiedz mi, jak mam się teraz do ciebie zwracać?

Josie zamknęła oczy. Czy dzisiejsze odkrycie zmieni ich relacje? Wbrew pozorom, dotychczasowe sprzeczki z Willem sprawiały jej niemałą frajdę. Byłoby nudno, gdyby zaczął się do niej odnosić z wyszukaną uprzejmością.

- Zostańmy dla siebie Willem i Josie - powiedziała.

W ciemnościach nie zobaczyła, że się nad nią pochyła, dopóki nie poczuła jego ust. A co najdziwniejsze, nie była tym zdziwiona ani zaskoczona. Ani tym, że odwzajemniła jego delikatny pocałunek. Oczywiście tylko dlatego, że było zbyt ciemno, aby mogli się widzieć.

Pocałunek zakończył się równie naturalnie, jak się rozpoczął. Josie otworzyła oczy i zamrugła powiekami. Zza chmur wyłonił się księżyc, oświetlając twarz Willa. Miał minę człowieka, w którego uderzył grom.

Josie uśmiechnęła się leciutko.

Will otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz ona przyłożyła mu palec do warg. Wstała z ławki i poszła w głąb ogrodu, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tylko tego mi brakowało, myślała Josie, okręcając wokół palców sznur swego przedpotopowego telefonu.

- Zgódź się, Josie. To dla nas bardzo ważne - prosił jej brat.

- Jakiego ma być koloru?

- Co?

- Jak to co, Alfie? Sukienka druhny!

- Ach, różowa. - Przynajmniej nie będzie się kłócić z kolorem jej włosów.

- Przepraszam, Sophie szturcha mnie w bok, że nie różowa, tylko malinowa. Ja tam nie widzę różnicy.

- Bo jesteś mężczyzną - odburknęła. Przynajmniej tyle dobrego, powiedziała do siebie. W jasnoróżowej sukience każda kobieta wygląda jak Barbie.

- Zgódź się, Josie. Nasze plany i tak się komplikują. Przynajmniej ty nam nie utrudniaj. Mama najpierw zmusiła Sophie, żeby zrezygnowała ze swojej wersji ślubnej sukni, a teraz chce, żeby wesele odbyło się w Harrington House. I wtedy zrobi, rzecz jasna, wszystko po swojemu.

No tak, matka chce jak zwykle o wszystkim decydować. Ma okazję zostać główną bohaterką towarzyskiego wesela sezonu.

- Powiedz Sophie, że będę jej druhną - odparła zdecydowanym tonem.

Pochyliła się nad stolikiem i zaczęła coś mazać na kartce. - Jeśli dobrze pamiętam, jej rodzice mieszkają nie więcej jak piętnaście mil od Elmhurst Hall, prawda?

- Tak, ale w ich domu trwa generalny remont. Niby obiecują, że będzie gotowy przed końcem czerwca, ale wiadomo, że remonty zawsze się przeciągają. Nie ma pewności, czy w połowie lipca dom będzie gotowy.

- I mama chce to wykorzystać.

- No właśnie - z westchnieniem przytaknął Alfie.

- Mam pomysł, braciszku. Na razie nic więcej nie powiem, ale odezwę się za parę dni - powiedziała Josie, gwałtownie się prostując. - Nie mam fury pieniędzy, ale chyba będę mogła sprawić wam królewski prezent.

Will czekał na Josie w swoim gabinecie, niespokojnie bawiąc się ołówkiem. Wiedział, co chce jej powiedzieć, ale nie był pewien, czy znajdzie odpowiednie słowa.

W sobotę wieczorem zachował się głupio. Nieodpowiedzialnie. On, który nigdy nie tracił głowy. Coś jednak sprawiło - może ciemności, a może to, że okazała mu tyle zrozumienia - że poczuł nieodpartą potrzebę bliskiego kontaktu z inną osobą. Z osobą, która akceptowała go takim, jakim był.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

Josie weszła do pokoju, a Willowi zrobiło się gorąco. Dziewczyna miała na sobie nowy uniform, którego wąska krótka spódnica podkreślała linię bioder i kształt smukłych łydek. Szybko odwrócił wzrok, koncentrując spojrzenie na jej oczach.

- Powstał jakiś problem? - zapytała.

- Tak! To znaczy nie - odparł niezbyt składowie, zapraszając ją gestem, by usiadła.

Przed sobotnim wieczorem nie przyszłoby mu do głowy, aby ją pocałować, a nawet gdyby o czymś takim pomyślał, oczekiwałby z jej strony gorącej, namiętnej reakcji. A tymczasem spotkał się z delikatną, wręcz nieśmiałą czułością.

- Chcesz porozmawiać o sobotnim wieczorze? - spytała bez ogródek. - Bo jeżeli tak...

- Nie, nie - zaprotestował.

- Bo jeżeli tak, i chcesz mnie z tego powodu wyrzucić z pracy, to zwracam uwagę, że sam zacząłeś - oświadczyła.

- Ależ skąd. Nie mam zamiaru cię wyrzucać. Chcę... - cię pocałować, pomyślał, a na głos powiedział: - ci zaproponować awans. Harry pozostawił po sobie straszny bałagan w rachunkach i w ogóle. Muszę to wszystko uporządkować, oddzielić dochody z posiadłości od własnych funduszy. Po naradzie z prawnikami postanowiłem nadać Elmhurst Hall status fundacji charytatywnej.

- Genialny pomysł! Będzie można starać się o dotacje i o umorzenie części podatków.

Will uśmiechnął się. Przewidywał znacznie większe korzyści, niemniej entuzjazm Josie upewnił go o słuszności podjętej decyzji.

- Posiadłość musi mieć administratora. Nie możemy sobie na razie pozwolić na zatrudnienie dodatkowego personelu, ale administrator musi być.

- I ja miałabym z nim pracować?

- Nie. Chcę, żebyś sama nim została. Josie zrobiła wielkie oczy.

- Ja miałabym wszystkim kierować?

- Nie widzę nikogo, kto by się do tego lepiej nadawał. Nikt tak dobrze nie orientuje się we wszystkim, co dotyczy Elmhurst Hall, no i nie brak ci pomysowości. A poza tym podejrzewam, że wbrew pozorom niezorganizowanej buntowniczkii masz głowę do interesów.

- Będę miała własne biuro?

- Czemu nie?

Will już wcześniej zastanawiał się, czy nie przeznaczyć dawno nieużywanych kwater dla służby na pokoje biurowe. W innym wariantcie Josie mogłaby pracować przy drugim biurku w jego własnym gabinecie. Co prawda po sobotnim incydencie stała bliskość Josie nie byłaby wskazana...

Josie rozważała w milczeniu jego propozycję.

- Czy będę mogła sama urządzić swoje biuro?

- Hm... - zająknął się. - Oczywiście. To znaczy, w granicach rozsądku. -

Powiedziawszy to, trochę się przestraszył, ale dzielnie brnął dalej. - No i służbowy strój przestanie być potrzebny.

- Już do niego przywykłam.

- Zresztą ubieraj się, jak chcesz. Większość roboty, przynajmniej na początku, spadnie na nas dwoje. Na początek trzeba dokończyć segregowania zbiorów Harry'ego i przygotować wystawę.

- Jesteśmy prawie w połowie.

- Musimy się pospieszyć. Wystawę chciałbym otworzyć najpóźniej pod koniec lipca. Wpływy z biletów bardzo by się przydały.

W tej chwili liczył się każdy grosz. Pieniądze ze sprzedaży jego londyńskiego mieszkania pokryły zaledwie koszty renowacji Elmhurst Hall i bieżące wydatki.

- Skoro mówimy o finansach... - rzekła Josie z wahaniem.

Dotąd nigdy nie podnosiła kwestii zarobków.

- Oczywiście otrzymasz podwyżkę - zapewnił ją Will.

- Nie o to chodzi. Mam pewien pomysł.

- To ciekawe. Mów.

Josie aż podskoczyła na krześle.

- Dopiero wczoraj przyszło mi do głowy, nie byłam pewna... ale dziś już wiem, że to dobry pomysł.

- Mogłabyś mówić trochę składniej?

- Jeżeli my razem, ja i ty, urządzimy wesele... żeby zobaczyć, czy się uda, to by mogło nam zapewnić wspaniałą przyszłość - wyrzuciła z siebie Josie.

Willa zamurowało. Oto do czego prowadzi całowanie się z pracownicą w ciemnym ogrodzie. Jednakże jej wypowiedź zbiła go z tropu. Josie nie robiła wrażenia osoby szukającej męża.

- To znaczy... no nie wiem. To może nie być najlepszy pomysł - wybąkał.

- Nie? Dlaczego?

- Czy to nie za wcześnie? Dopiero co...

- Wiem, dopiero zatrudniłeś mnie jako administratora, ale myślę, że mamy przed sobą przyszłość.

- Tak uważasz?

- Na pewno.

Popatrzył na nią. Josie była świetnym kumplem. No i bardzo mu się podobała. Ale żeby od razu się żenić?

- Pozwól mi się zastanowić - poprosił.

Josie założyła ręce na piersi i rozsiadła się na krześle w pozie wyczekiwania.

Dwa dni temu powiedziała mu w ogrodzie, że powinien się ożenić i spłodzić potomka. Jej dzisiejsze oświadczyzny nawet mu pochlebiły. Ale czy jest dobrym materiałem na jego żonę? Potrzebował raczej kobiety, która będzie szanowała panujące w dobrym towarzystwie zwyczaje. Będzie umiała łagodzić konflikty, a nie je rozniecać.

Z drugiej strony Josie ma bogatych rodziców, a to coś znaczy. Czyż małżeństwa z rozsądku, cementujące pozycję i majątek, nie należą od wieków do tradycji wielkich rodów?

No tak, ale on nie tak wyobrażał sobie drogę do powodzenia i pieniędzy.

- Przykro mi, ale... - Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć mężczyzna, odrzucając propozycję małżeństwa.

- Nie mów nie, dopóki nie wyjaśnię ci wszystkiego - szybko wtrąciła Josie. - Mój brat w lipcu się żeni. Urządzenie mu ślubu i wesela w Elmhurst Hall będzie dla nas znakomitą próbą generalną.

- Próba generalną? - Jego zdziwienie zmieniło się w popłoch.

- Tak. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze; będziemy mogli zacząć przyjmować zamówienia na śluby w przyszłym roku. Przeprowadziłam małe dochodzenie, z którego wynika, że ludzie są gotowi płacić tysiące funtów za wesele w tak pięknej posiadłości. Za parę lat moglibyśmy przez całe lato w każdą sobotę wynajmować Elmhurst Hall na wesele. A to by oznaczało wcale pokaźny stały dochód.

O rany! Ona miała od początku na myśli cudze wesela! Ale jemu... Stanowczo ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Willowi zrobiło się okropnie głupio.

- Właściwie to masz rację - odparł, starając się zapanować nad wyrazem twarzy. - Przedstaw mi na piśmie zarys projektu i wstępny kosztorys.

- Dziękuję, Will! - zawołała. - Zobacysz, że doprowadzimy Elmhurst Hall do kwitnącego stanu.

To mu odpowiadało. To znaczy, współpraca na poziomie zawodowym. Bo jeśli chodzi o sprawy osobiste, to trzeba pewne rzeczy postawić jasno i wyraźnie.

- Chciałbym jednak dodać, że dla dobra wspólnej pracy nie powinniśmy... no wiesz...

- Migdalić się wieczorami w ogrodzie?

Chyba po raz pierwszy był zadowolony, że Josie ma tak niewyparzony język.

- No właśnie. Chyba światło księżyca uderzyło nam do głowy. Co o tym myślisz?

- O ogrodzie czy o mojej nowej posadzie?
- O posadzie. - Do pocałunku w ogrodzie lepiej nie wracać.

Josie uśmiechnęła się.

- Od kiedy zacznę?

- Od zaraz. To znaczy jak tylko znajdziesz zastępstwo w herbaciarni.

- Już się robi, szefie. - Poderwała się z krzesła. Stojąc już w progu, odwróciła się. - A co do ogrodu, to chyba zapomniałeś, że księżyc wcale nie świecił - dodała z bezczelnym uśmiechem.

Chwyciła torbę i pomachawszy Alice na pożegnanie, wybiegła z kawiarni. Jeśli się nie pośpieszy, gotowa się spóźnić. Przewiesiła torbę przez szyję, by łatwiej było biec. Niestety, kiedy wybiegała zza żywopłotu, zobaczyła nagle blokującą jej drogę taczka. Była zbyt rozpędzona, żeby się zatrzymać. Trzeba ją przeskoczyć. Przez krótki moment szybowiła w powietrzu, a w następnej chwili poczuła, że jej lewa stopa zaczepia o krawędź taczki i obie - to znaczy ona i taczka - przewracają się na ziemię. I tak dobrze, że taczka jej nie przygniotła, a jedynie przysypała stertą gałązek i liści ze strzyżonego wcześniej żywopłotu.

Poderwała się z ziemi i pobiegła dalej przez trawnik, nie zważając na stłuczoną nogę ani na zwiedzających posiadłość turystów, którzy ze zdziwieniem odprowadzali wzrokiem pędzącą przed siebie kobietę o jaskrawo różowych włosach, z których sterczały gałązki bukszpanu.

Wbiegła na szkolne boisko w momencie, gdy wychowawczynie Hattie wyprowadzała klasę z budynku. Inne elegancko poubierane mamy mierzyły zdyszana Josie ironicznymi spojrzeniami.

- Hej, Hattie, jestem tutaj! - zawołała.

Hattie odwróciła się i na widok matki zaniemówiła. Zaraz jednak pożegnała się z koleżanką, podeszła do matki i ruszyła przed siebie z pochyloną głową. Po dłuższej chwili spytała:

- Co ci się znowu stało?

- Zderzyłam się z taczka. Mam nadzieję, że nie wyglądam jak straszdyło. Śpieszyłam się, żebyś nie musiała na mnie czekać. - Córka bladym uśmiechem skwitowała jej słowa. - Ale wiesz, mam dobrą wiadomość. Will, to znaczy lord Radcliffe, zaproponował mi posadę administratora Elmhurst Hall. Dostanę podwyżkę, będę miała własne biuro i w ogóle.

- Och, mam, to wspaniale! - wykrzyknęła Hattie, w jednej sekundzie odzyskując dobry humor. - Staniesz się wreszcie prawdziwa mamą. I będziesz chodzić do biura porządnie ubrana, jak mama Elizabeth, prawda?

Josie odjęło mowę. Czasami zaczynała podejrzewać, że jej dziecko jest zamienionym w szpitalu podrzutkiem.

Teraz była znowu umorusana i zakurzona. Wytarła brudne ręce w jeszcze brudniejsze spodnie i rozejrzała się po swoim przyszłym biurze. Udało jej się oczyścić dawno nieużywany pokój dla służby z nagromadzonych przez lata śmieci. Wystarczy odmalować ściany, wstawić biurko, półki i komputer.

- No proszę, co za zmiana! - usłyszała za plecami głos Willa. - Nieźle się napracowałam.

Zakręciło ją w nosie i głośno kichnęła.

- To pewnie ten kurz - mruknęła, spoglądając na stojącego w drzwiach mężczyznę. W niczym nie przypominał sztywnego jak kij Willa sprzed paru miesięcy.

- Wyjdźmy na dwór, musisz odetchnąć świeżym powietrzem - powiedział, odsuwając się od drzwi i puszczając ją przodem.

Od tamtego wieczoru w ogrodzie traktował ją z niemal ostentacyjnym respektem, zachowując zawsze fizyczny dystans. Bardzo słusznie, pomyślała. Bo jeśli nawet nie są sobie całkiem obojętni, to przecież kompletnie do siebie nie pasują. Will potrzebuje spokojnej, rozsądnej, dobrze wychowanej żony.

Dostrzegłszy swoje odbicie w wiszącym w holu lustrze, nagle zniechęciła się.

- Wyglądam jak straszidło. Zamiast iść na spacer, powinnam natychmiast wrócić do domu i wziąć prysznic - powiedziała.

- Nie przejmuj się. Turyści opuścili park kwadrans temu, nikt cię nie zobaczy - uspokoił ją Will.

A jego nikt nie zobaczy w towarzystwie osoby wyglądającej tak jak ona.

- Dokąd chcesz iść?

- Przejdźmy się po ogrodzie, opowiesz mi o przygotowaniach do wesela.

Zachodzące słońce oświetlało czubki drzew. Idąc przez ogród, Josie z ulgą chłonęła emanujący z otaczającej ją przyrody spokój.

- Josie, czy coś się stało?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dlaczego myślisz, że coś się stało?

- Bo od dziesięciu minut nie powiedziałaś ani słowa, a to ci się na ogół nie zdarza.

Faktycznie. Will potrafiłby pewnie przeżyć kilka dni, nie otwierając ust. Hattie jest taka sama. Ona natomiast ma nieprzewartą potrzebę mówienia.

- Powiesz mi, co cię gryzie? - Zbliźali się do pamiętnej części ogrodu. - Chyba nie to... no wiesz...

- Ależ skąd! - zaprzeczyła trochę zbyt gorliwie. - Nie, nie, ani mi w głowie. Też coś! - dodała, śmiejąc się sztucznie. - Nie musisz się obawiać. Po prostu martwię się o Hattie.

- Coś jej dolega? - zaniepokoił się Will.

Pokręciła głową. Z chorobą dziecka łatwiej by sobie poradziła. Wystarczy zajrzeć do encyklopedii zdrowia albo poradzić się lekarza. Jaka szkoda, że z matką nie może o tym porozmawiać. Matka nie zrozumiałaby, o co jej chodzi.

- Czy uważasz, że jestem dobrą matką? - zapytała.

Bała się na niego spojrzeć. Bała się zobaczyć na jego twarzy wyraz zaniepokojenia albo wręcz potępienia.

- No, nie wiem. Nie znam się na wychowywaniu dzieci - odparł wymijająco.

Jego odpowiedź zdawała się potwierdzać jej obawy. Chcąc być całkowitym przeciwieństwem matki, zawiodła w inny sposób.

- Wiesz, jak Hattie zareagowała na wiadomość o mojej nowej posiadzie? - zapytała. - Powiedziała, że to wspaniale, bo nareszcie stanę się „prawdziwą” mamą. A ja od lat robię, co mogę, żeby nauczyła się być sobą. Niczego nie

udawać, cenić własną indywidualność. A tymczasem okazuje się, że Hattie marzy, żeby upodobnić się do otoczenia. I mieć gospodarną mamusię jeżdżącą volvem, omawiającą z innymi mamusiami ostatni odcinek serialu - wyrzuciła z siebie Josie, pociągając nosem.

- Jakoś nie potrafię sobie ciebie wyobrazić za kierownicą volva.

- Ale ona potrafi, i na tym polega problem. Oczekuje ode mnie czegoś, do czego nie jestem zdolna, nie wypierając się samej siebie. Tak czy inaczej, jedna z nas będzie nieszczęśliwa.

Will podał Josie chusteczkę, objął ją i przytulił do swej szerokiej piersi.

- Podziwiam cię między innymi za to, że masz w nosie, co ludzie o tobie pomyślą - rzekł łagodnie. - Ja tak nie potrafię. Czasami marzy mi się, żeby ufarbować sobie włosy na różowo i powiedzieć całemu światu, żeby się odczepił.

W innej sytuacji wizja Willa z ufarbowanymi na różowo włosami rozśmieszyłaby ją do łez. Teraz odsunęła się tylko, ocierając chusteczką oczy.

- Nic mnie nie obchodzi, co ludzie sobie myślą, ale bardzo mnie obchodzi to, że moja córka uważa mnie za nieudacznicę. - Podniosła głowę. - Nie wiem, co robić. Może powinnam wrócić do rodziców i zacząć żyć pod dyktando matki.

- O nie! - z nieoczekiwaną stanowczością zaprotestował Will. - Myślę, że powinnaś uzbroić się z cierpliwość. Hattie to jeszcze dziecko. Kiedy trochę podrośnie, na pewno doceni fakt, że miała matkę, która nauczyła ją realizować własne marzenia. Nie zmieniaj siebie. Moja babka zawsze mi mówiła, żebym stał się tym, kim się urodziłem. - Objął wzrokiem swą posiadłość. - I tak będzie. Postanowiłem rzucić firmę, przekazać ją swojemu partnerowi, i zajmować się wyłącznie sprawami Elmhurst Hall.

- Ach, to świetnie! - zawołała, nagle rozpogodzona. Otarła oczy i nos. -
Oddam ci chustkę, jak ją upiorę.

Roześmiał się.

Odwrócili się i ruszyli z powrotem przez ogród. Will zauważył, że Josie, choć o wiele od niego niższa, bez trudu dotrzymuje mu kroku. Szkoda, że w podobny sposób nie umie się dostosować do oczekiwań innych ludzi.

- Nie martw się, mam, oczywiście, że zamówiłam kwartet smyczkowy. I nie bój się, nie robię niczego za twoimi plecami.

Josie niecierpliwie bębniła palcami w stół. Kiedy matka wreszcie zrozumie, że jej córka jest dorosłą odpowiedzialną osobą, której szczeniackie pomysły dawno wywietrzały z głowy?

Po paru minutach udało się jej zakończyć telefoniczną rozmowę z matką. Chyba dziesiątą w tym tygodniu. Alfie i Sophie tak się bali despotycznej seniorki rodu, że wszystkie swoje pomysły dotyczące wesela przeprowadzali za pośrednictwem Josie.

Matka, rzecz jasna, chciała wszystko urządzić po swojemu i o każdy szczegół, na przykład o to, czy sale mają być udekorowane liliami czy różami, trzeba było się z nią godzinami użerać.

- Masz chwilę?

Podniósłszy głowę, zobaczyła stojącego w drzwiach Willa. Parę dni temu przeniósł swoje papiery i komputer do jednego z sąsiednich pomieszczeń. Dzięki temu nie musieli biegać po schodach, ilekroć mieli sobie coś do powiedzenia.

- Dla ciebie zawsze.

- Dziękuję. Chciałem ci coś pokazać. Odsunęła papiery na bok biurka.

- Nie, musisz ze mną wyjść. Znalazłem na strychu coś naprawdę niezwykłego. Musisz to zobaczyć.

Kiedy wspinali się po schodach, Will swoim zwyczajem szedł parę kroków za nią, jakby bał się do niej zbliżyć.

- W którą stronę? - zapytała już na górze.

Wskazał jej jedno z mniejszych pomieszczeń po lewej stronie strychu.

Sortowanie pokrytych grubą warstwą kurzu zbiorów Harry'ego było zajęciem żmudnym. Wczoraj po południu udało im się przekopać przez przedostatni z ułożonych w amfiladę pokoiów. Will najwidoczniej nie wytrzymał i, zamiast pójść na lunch, dobrał się dziś do ostatniego pomieszczenia. Przeciskali się pomiędzy posegregowanymi już eksponatami, które Will uparł się układać według gatunków, co faktycznie okazało się znakomitym pomysłem. Kilkanaście zebranych w jednym miejscu, podobnych do siebie, ale jednak różnych starych bicykli, budziło o wiele większe zainteresowanie niż jeden, stojący osobno.

- Poczekaj chwilę - powiedział Will, kiedy dotarli do ostatniej salki.

Zatrzymała się w progu. Will wszedł do środka sam. Przez dłuższą chwilę z wnętrza dochodziły tajemnicze szurania i szmery, ale potem wszystko ucichło. Zniecierpliwiona czekaniem, Josie postąpiła krok do przodu, lecz natychmiast odskoczyła na widok zmierzającej ku niej przerażającej zjawy.

W tym samym momencie usłyszała głośny śmiech Willa. Stał przed nią w dziwacznym ni to rogatym hełmie, ni to wykrzywionej w strasznym grymasie masce na głowie.

- Co ty wyprawiasz? - oburzyła się.

- Demonstruję ci część oryginalnej japońskiej zbroi - odparł, zdejmując niezwykle nakrycie głowy. - Prawda, że robi wrażenie?

- No wiesz! - parsknęła ze złością.

Jak mógł ją tak przestraszyć! Zagryzła wargi, by nie powiedzieć, co o nim myśli.

Will przyjrzał jej się uważnie.

- A więc to tak - powiedział powoli.

- Co takiego?

- Jak ty innym, to jest dobrze, ale jak inni tobie, to źle.

- Co to ma znaczyć?

- A mianowicie to, droga lady Harrington-Jones, że uwielbiasz szokować innych, ale broń Boże, żeby ktoś spróbował ci odpłacić tą samą monetą.

- Jeśli to miała być nauczka, to bardzo panu dziękuję. Will odłożył hełm na stojącą obok półkę.

- Chciałem po prostu zrobić ci kawał, myślałem, że cię rozśmieszy. Stałaś się ostatnio okropnie poważna.

Josie nareszcie się rozchmurzyła.

- Bo haruję dla ciebie od rana do nocy.

- Ach, rozumiem - odparł bez cienia skruchy. - Wyobraź sobie, że w tamtej szafie znajduje się pełna zbroja japońskiego wojownika. Fantastyczna! Na pewno warta ładnych parę tysięcy funtów. Jak się ją wystawi razem z japońskimi mieczami i skrzyniami, stanie się wielką atrakcją wystawy..

- No dobrze - rzekła pojednawczo, biorąc z półki hełm i rzucając nim w Willa. - Tylko nie rób mi więcej podobnych kawałów.

- Tak jest, lady Josephine.

Josie rozkwita, myślał Will, obserwując ją rozmawiającą przez telefon. Od początku w nią wierzył, niemniej nie spodziewał się, że w tak krótkim czasie potrafi tyle osiągnąć.

Chociaż nadal farbowała włosy na różowo i nie nosiła grzecznych garsonek, to jednak jej wygląd uległ pewnej zmianie. Dzisiaj, na przykład, miała na sobie obszerną kwiecistą spódnicę i wysadzone kolorowymi kamkami sanda-

ły, na które zwrócił uwagę, ponieważ nie oduczył się niemal obsesyjnego zerkania na jej niezwykle kształtne nogi o delikatnych kostkach.

Przede wszystkim jednak znakomicie radziła sobie ze wszystkimi problemami. Szczególnie podziwiał rozmach organizowanego przez nią wesela, które zapowiadało się na wydarzenie towarzyskie dziesięciolecia.

Co prawda cały ten dziwaczny szum wokół ślubu raczej zniechęcał Willa do małżeństwa. Tym w każdym razie tłumaczył sobie, dlaczego zrezygnował z udziału w letnich rozrywkach okolicznej socjety i poszukiwań odpowiedniej matki swych przyszłych potomków.

Josie odłożyła słuchawkę i zmarszczyła brwi.

- Katastrofa - powiedziała. - Fotograf zerwał umowę.
- Oj, niedobrze, do wesela zostały tylko trzy tygodnie.
- Coś mi mówi, że to sprawka Beaufortów.
- Naprawdę myślisz, że zniżyliby się do czegoś podobnego?

Spojrzała na niego z politowaniem.

- No pewnie. Nie cofną się przed niczym, byle cię usadzić. Musieli się zorientować, że urządzenie wesel może być intratnym przedsięwzięciem, i próbują podstawić ci nogę.

- Ale dlaczego? Nie muszą mnie lubić, ale po co mieliby szkodzić własnej rodzinie?

Josie znowu popatrzyła na niego jak na naiwniaka.

- Przykro mi to mówić, Will, ale oni nie uważają cię za członka rodziny. Raczej za konkurenta. Karierowicza, którego trzeba usadzić, pokazać mu swoją wyższość.

- Hm, nie przyszło mi do głowy, że takie rzeczy zdarzają się w rodzinie - mruknął Will, coraz bardziej zafrasowany.

- Nie wszystkie rodziny są takie - pocieszyła go Josie, ale zaraz dodała: -
Co prawda moja jest niewiele lepsza.

- W każdym razie twoja matka nie życzy ci źle.

- Ale robi, co może, żeby utrudnić mi życie. Przynajmniej we wszystkim,
co dotyczy wesela - westchnęła Josie.

Will zauważył, że po raz któryś pociera policzek.

- Boli cię ząb? - zapytał.

Josie lekceważąco machnęła ręką.

- Trochę, ale to przejdzie. W najgorszym razie po weselu pójdę do denty-
sty. - Znowu westchnęła. - Teraz muszę zacząć obdzwaniać fotografów. Cho-
ciaż o tej porze roku wszyscy dobrzy fachowcy na pewno są zajęci.

Sięgnęła po słuchawkę, ale Will poderwał się i przytrzymał jej rękę.

- Owszem zadzwonisz, ale tylko do dentysty - rzekł kategorycznym to-
nem.

Josie zmarszczyła brwi i rzuciła mu groźne spojrzenie. Will odpowiedział
jej tym samym. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Josie spuściła
oczy pierwsza.

- No dobrze, pójdę do tego cholernego dentysty - burknęła, odpychając
jego rękę. - Nie cierpię, kiedy mnie traktujesz jak wielki dziedzic swoją podda-
ną.

Godzina, na którą była zapisana, dawno minęła, a ona nadal tkwiła w po-
czekalni. Z nudów sięgnęła po leżące na stoliku kolorowe czasopisma, do któ-
rych na ogół nie zaglądała. Zwłaszcza odkąd parę lat temu stała się bohaterką
utrwalonego w jednym z nich towarzyskiego skandalu. Przerzucając pierwszy
z brzegu magazyn, natrafiła na ślubne zdjęcie Claire Frazier-Smith, obecnie -
lady Hammond.

Uśmiechnęła się na wspomnienie swojej dawnej koleżanki szkolnej, która od piętnastego roku życia kochała się w swym obecnym mężu. Widać jej marzenia się spełniły, a w dodatku miała naprawdę piękny ślub w rodzinnym zamku Westbury. Na dodatek ślub świetnie fotografowany. Zdjęcia były nieporównanie lepsze od tych, jakie zaprezentował zamówiony przez nią wcześniej zdradziecki fotograf. Znalazłszy na końcu artykułu nazwisko autora zdjęć, znieruchomiała, a w głowie się jej zakręciło.

Jeśli przeprowadzi swój plan, wredne machinacje Beaufortów na nic się nie zdadzą.

Wpadła jak huragan do gabinetu Willa i od progu zaczęła coś mówić, gorączkowo wymachując rękami. A raczej nie tyle mówiła, co wyrzucała z siebie z szybkością kulomiotu nieartykułowane dźwięki.

- Nie tak szybko, Josie, nic z tego nie rozumiem - zdołał jej przerwać Will, odkładając na biurko długopis. Co ten dentysta jej zrobił, że tak się zachowuje?

Josie zamilkła na moment, obmacując sobie policzek.

- Zaczynij od początku. I mów wolno - poradził.

- Bab pobysł.

Will zmarszczył brwi.

- Masz pomysł? - zapytał. Josie energicznie pokiwała głową. - I nową plombę?

Ponownie skinęła głową i opadła na krzesło.

- Trudno bówicz ze zdretfłało wargo - wyjaśniła, obmacując jedną stronę ust.

- Może poczekałabyś z wyjaśnieniami, dopóki nie wróci ci czucie? - zaproponował.

Ale ona wyciągnęła już z torby otwarte na rozkładówce mocno sfatygowane kolorowe czasopismo i podetkała mu je pod nos. W ciągu następnych paru minut zdołał zrozumieć, że Josie zna fotografa, który robił zdjęcia, i natychmiast musi się z nim porozumieć.

- Chyba nie zamierzasz dzwonić do niego w tej chwili - zauważył.

- E-bail.

- Bardzo słusznie - pochwalił. - To idź go wyślij, a my pogadamy za godzinę, jak dojdiesz do siebie.

- Dzięki - odparła, uśmiechając się krzywo, jedną połową ust.

Zdjęcia były rzeczywiście imponujące, pomyślał Will po jej wyjściu. Jeśli Josie załatwi takiego fotografa na ślub w Elmhurst Hall, będzie to znakomita reklama dla ich weselnego przedsięwzięcia.

Zwłaszcza że w tej chwili sytuacja finansowa wyglądała wręcz rozpaczliwie. Will musiał się pozbyć nie tylko domu, ale wszystkich posiadanych akcji i innych aktywów, by pokryć koszty renowacji, która ze względu na planowaną wystawę obejmowała obecnie także rozległy strych.

Po trzech kwadransach do jego gabinetu zajrzała Josie.

- Dostałaś odpowiedź? - zapytał.

- Jeszcze nie. Ale jestem prawie pewna, że się zgodzi.

- Skąd go znasz?

Josie wydeła wargi.

- Nie ma co ukrywać. Z czasów, kiedy zasłynęłam jako lady Daj-Daj - odparła, wzruszając ramionami.

- Dziękuję za szczerość.

- Nie ma sensu się wypierać. W końcu wszyscy i tak o tym wiedzą. A co do niego, to wygląda na to, że zmienił się w szacownego fotografa obsługują-

cego wesela znanych ludzi. A wobec mnie ma spory dług. W końcu zarobił na mnie mnóstwo kasy.

- W jaki sposób?

- To on zrobił mi tamto słynne zdjęcie w trakcie aresztowania, które sześć lat temu obiegiło wszystkie bulwarówki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Butelka farby do włosów stała na półce w łazience od trzech dni, ale Josie wciąż odwlekała ten nieuchronny moment. W końcu trzeba będzie to zrobić, do wesela został już niecały tydzień. Dobrze, ale jeszcze nie dziś.

Po odwiezieniu Hattie do szkoły zostawiła auto na parkingu i skierowała się przez ogród do pałacu. Na głównym trawniku, gdzie rozstawiano wielką markizę, zobaczyła Willa i pomachała do niego. On jednak jej nie zauważył. Wyglądał, jakby wypatrywał czegoś w oddali. Dostrzegł ją dopiero, gdy się zbliżyła.

- Podziwiasz markizę? - zapytała.

- Ach, to ty! Nie. Ale jest bardzo ładna - odparł, wyraźnie czymś zaabsorbowany.

- Co ci jest?

- Przykro mi to mówić, ale muszę wyjechać na kilka dni i nie wiem, czy zdążę wrócić na wesele.

- Musisz wrócić! - zaprotestowała.

Nie tylko potrzebowała jego wsparcia, ale chciała, żeby był świadkiem triumfu ich przedsięwzięcia.

- Miałem telefon od babki. Włamano się do jej domu. Babka jest w okropnym stanie.

- To straszne. Oczywiście, że musisz jechać.

- No właśnie.

Był bardzo przygnębiony i Josie na ten widok ścisnęło się serce. Ostatnimi czasy nawiązała się między nimi autentyczna przyjaźń. Gorętsze uczucia udawało im się trzymać na wodzy. No, prawie. Ale oboje zdawali sobie sprawę, że uleganie im nie miałyby sensu.

- Masz z babką dobre stosunki? - spytała.

- Ach, jak najlepsze. Pod warunkiem - dodał z lekkim uśmiechem - że sobie, jak to ona mówi, zanadto „nie pozwalam”. - Po sekundzie dodał: - Bardzo przepraszam, że zostawiam wszystko na twojej głowie.

- Nie ma o czym mówić. - Wzięła go za rękę i pociągnęła do domu. - Twoim pierwszym obowiązkiem jest wierność ludziom, których kochasz, a nie murom i ich wnętrzom, nawet tak pięknym i szacownym jak te, którym przywróciłeś dawną świetność.

- Naprawdę dasz sobie sama radę?

- Bądź spokojny, mam wszystko pod kontrolą. Spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Dziękuję, Josie. Jesteś nieoceniona. - Pochylił się, szybko pocałował ją w usta, obrócił się na pięcie i pobiegł do gabinetu.

Josie z wrażenia nie była w stanie zrobić kroku. Kiedy się wreszcie opamiętała i ruszyła do biura, Willa już nie było. Przez cały dzień czuła się, jakby ucięto jej jedną rękę. Kilkakrotnie w ciągu dnia podrywała się, chcąc pobiec do Willa, by mu coś powiedzieć, i natychmiast z poczuciem zawodu opadała na krzesło. Późnym popołudniem przyprowadziła Hattie ze szkoły, po czym poszła do łazienki i sięgnęła po butelkę farby. Nie warto dłużej z tym zwlekać.

W małym parafialnym kościółku od wielu lat nie było takiego ruchu. Na dwie godziny przed ślubem Josie nadal biegła tam i z powrotem, doglądając ostatnich przygotowań.

W trakcie sprawdzania bukietów rozmieszczonych wzdłuż głównej nawy usłyszała dźwięk komórki i sięgnęła do kieszeni. Czekwała na telefon od zamówionego fotografa, od faceta z kamerą wideo i od jednej z druhen, która błąkała się po okolicy, dzwoniąc co parę minut po kolejne wskazówki, jak ma tu dojechać.

Tymczasem znowu dzwoniła matka. Josie postanowiła nie odebrać telefonu. Nie będzie wysłuchiwać kolejnych pretensji, dlaczego nie przychodzi do garderoby dla dam, by się ubrać, uczesać i w ogóle doprowadzić się do przyzwoitego stanu.

Kolejny raz obeszła kościół, upewniając się, czy czegoś nie brakuje, i dopiero wtedy pobiegła znanym sobie skrótem przez lukę w żywopłocie do pałacu. Zatrzymała się na moment na tarasie, podziwiając rozstawioną na nieskazitelnie wystrzyżonym trawniku markizę, po czym weszła do holu.

Obszerne pomieszczenie wyglądało fantastycznie. Z sufitu zwieszały się girlandy świeżych kwiatów, a kilometry kremowej materii okrywały okrągłe stoły. Wyobraziła sobie, jak hol będzie wyglądał wieczorem, kiedy zapłoną lampiony i świece, a Alfie i Sophie wyjdą w pierwszym tańcu na parkiet.

Komórka znów zadzwoniła. Tym razem dzwonił fotograf.

- Jeff, to ty? Gdzie jesteś?

- Zaparkowałem w zaułku koło kościoła. Czy możesz się ze mną spotkać przy drzwiach kościoła?

- Dobrze. Będę za pięć minut.

Puściła się pędem w powrotną drogę.

- Jestem! - zawołała, widząc stojącego przed kościołem Jeffa.

- Gdzie mam stać podczas ceremonii? - zapytał.

- Sam wybierz sobie miejsce, z którego będziesz miał dobry widok, nie rzucając się zbytnio w oczy. A w ogóle to jestem ci naprawdę wdzięczna, że zgodziłeś się przyjąć tak późne zamówienie.

- Nie musisz - odparł, wzruszając ramionami. - Redakcja dobrze płaci, a do tego twoja obecność na przyjęciach zwykle przynosi mi szczęście - dodał, puszczając do niej oko.

Josie spojrzała na niego ostro.

- Posłuchaj mnie, Jeff. Dziś Alfie ma swój wielki dzień i ja mu tego nie popsuję. Nie będzie żadnego skandalu. - Jeff odchrząknął z powątpiewaniem. - Mówię poważnie. Będę się zachowywać nienagannie i tego samego oczekuję od ciebie. Chcę tylko przyzwoitych zdjęć. Możesz mi to obiecać?

- Powiem tak, droga lady Josephine. Jeśli ty będziesz się zachowywać, to ja się dostosuję.

- Nareszcie jesteś! Od godziny do ciebie dzwonię!

- Przepraszam, mam, ale mam tyle spraw na głowie. Czy Belinda wreszcie dotarła?

- Na szczęście, i to znacznie wcześniej niż ty - kwaśno odparła matka. - Wszystkie panny i dziewczynki są już ubrane i uczesane.

Zręcznie wyminawszy matkę, Josie zajrzała do sąsiedniego pokoju. Will oddał pannie młodej i drużnom do dyspozycji mieszkanie, które dawniej zajmował Harry.

- Proszę, wejdz - słabym głosem zaprosiła ją do środka panna młoda, siedząca na brzegu łóżka z baldachimem i trzymająca w ręce ślubny diadem.

- Pozwól, że ci go włożę - zaproponowała Josie.

- Nie, nie! - zaprotestowała Sophie. - Nikomu oprócz fryzjerki i twojej matki nie wolno dotykać moich włosów.

- A, to przepraszam. - Josie przyjrzała się uważnie sterroryzowanej panie młodej. - Pięknie ci w tej sukni - powiedziała. - Alfie zemdleje z wrażenia, kiedy cię zobaczy.

- Naprawdę dobrze wyglądam?

- Cudownie. - Sophie wreszcie się uśmiechnęła. - Nie denerwuj się, kochanie - ciągnęła Josie, siadając obok niej na łóżku. - Myśl tylko o Alfiem i o tym, jak bardzo się kochacie.

Niestety, dochodzący z sąsiedniego pokoju przenikliwy okrzyk matki zniweczył uspokajający efekt jej słów.

- Sophie, czas zająć się twoim diademem! Biedna dziewczyna aż skuliła się ze strachu.

- Jeszcze teraz czuję zadrapania na głowie po tym, jak pierwszy raz próbowała mi go włożyć - szepnęła.

- Nie możesz poprosić fryzjerki, żeby się tym zajęła? - spytała Josie.

- Myślisz, że mama się zgodzi?

- Boję się, że nie - po krótkim namyśle przyznała Josie. - Więc zrobimy inaczej. Ja odwrócę jej uwagę, a ty tymczasem wymkniesz się do drugiego pokoju.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do sypialni wkroczyła matka.

- Idź - szepnęła Josie.

Sophie cicho wysunęła się z pokoju.

- Musimy coś wymyślić, bo zapomniałam przynieść bieliznę na zmianę - powiedziała do matki.

Podeszła do komody i otworzyła górną szufladę, ale na widok starannie poskładanych męskich bokserek szybko ją zatrzasnęła. Nawet ona wstydziłaby się paradować na ślubie w bieliźnie szefa.

- Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś majtek? Gdzie ty masz głowę?

Zawsze z tobą są kłopoty.

Uznawszy, że dała Sophie wystarczająco dużo czasu, Josie podeszła do wieszaka, na którym wisiała jej suknia.

- Wiesz co, mamó, może byś sprawdziła, co robią druhny, a ja tymczasem się przebiorę?

Rzuciwszy córce ostatnie surowe spojrzenie, matka wypadła z pokoju.

- Och, jak pięknie ci w tym diademie, Sophie! - usłyszała Josie jej okrzyk z przyległego pokoju.

No, udało się!

Szybko się rozebrała i wskoczyła pod prysznic. Kiedy dziesięć minut później stanęła przed lustrem w dwuczęściowej sukni złożonej z wąskiej długiej spódnicy i wydekoltowanej, sznurowanej na plecach góry, ktoś zapukał do drzwi.

- To ty, mamó? Czy możesz mi zasznurować sukienkę?

- To ja, mamó.

W drzwiach stała Hattie, ubrana w jedwabną sukienkę z szeroką marszczoną spódniczką.

- Kochanie, wyglądasz jak aniołek.

- A ty jak księżniczka - odwzajemniła się mała.

Josie miała ochotę ją uściskać. W ustach Hattie był to największy komplement.

W drzwiach sypialni stanęła matka.

- No, najwyższy czas. Zaraz cię zasznurowuję.

- Nie zapomnij tylko, że muszę oddychać - mruknęła Josie, odwracając się do matki plecami.

- A po co? Nie wiesz, że tylko niedołęgi muszą oddychać? - odcięła się matka, mocnym ruchem ściągnając sznurówkę, na co Josie zerknęła na nią przez ramię. - Co tak patrzysz? Myślałaś, że tylko tobie wolno dowcipkować?

Josie parsknęła śmiechem, czując na plecach kolejne szarpnięcia. Po dwóch minutach wszystko było gotowe. I, o dziwo, oddychała. To znaczy, z pewnym trudem, lecz się nie dusiła.

Will biegł przez różany ogród do kościoła w nadziei, że zdąży przed rozpoczęciem ceremonii. Chciał być na miejscu w trakcie planowanego od dawna wydarzenia, od którego być może zależy przyszłość Elmhurst Hall. Tak przynajmniej sobie wmawiał, chociaż teraz, zamiast patrzeć na idącą do ołtarza pannę młodą, wypatrywał w tłumie całkiem innej osoby.

Gdzie jest Josie? Dlaczego nie ma jej w kościele? Czy jakiś nieprzewidywany problem zatrzymał ją w domu? Niewiele myśląc, wydostał się z kościoła i pobiegł z powrotem do pałacu.

- Nie widziałeś Josie? - zapytał Barretta, który, stojąc na trawniku, pouczał wynajętych do obsługi przyjęcia kelnerów.

- Powinna być w kościele, sir.

Will tylko pokręcił głową i pognął do domu. Przeszukał główny hol, kuchnię, biura, zajrzał nawet do herbaciarni, ale nigdzie jej nie było. Coraz bardziej zaniepokojony, skierował się z powrotem do kościoła.

Trafił na moment, gdy Sophie i Alfie pozowali na schodach kościoła do fotografii. Upłynęło dobre dziesięć minut, zanim para młoda zstąpiła ze schodów i z kościoła wyłonił się orszak druhen.

Will przebiegł wzrokiem po ich twarzach i już, zawiedziony, miał się odwrócić, gdy jego uwagę przykuł znajomy przekorny uśmiezek na twarzy jednej z nich.

Josie? Tak, to ona, ale...

Will z zachwytu wstrzymał oddech.

Zamiast spodziewanej jaskraworóżowej plamy ujrzał starannie ułożone, lśniące jak jedwab kasztanowe włosy. A ta suknia! Boże, jaka ona piękna!

Serce zabiło mu w piersiach. Czy mógł przypuszczać, że szalona różowowłosa Josie, z którą tak dobrze mu się pracowało, zmieni się w tak cudowne zjawisko? W prawdziwą damę? W tym wcieleniu stawała się stokroć bardziej niebezpieczna.

Niebezpieczna, ponieważ po tym, co zobaczył, już nigdy nie będzie w stanie myśleć o niej jako o fajnym kumplu.

W tym momencie Josie spojrzała w jego kierunku i na jej twarz wypłynął radosny uśmiech. Uniósłszy ręką kraj spódnicy, podążyła ku niemu, nie zważając na fotografa, który próbował zrobić jej zdjęcie.

- Will? Co tu robisz? - Zaniepokojona zmarszczyła brwi. - Czy coś się stało twojej babci?

Will zrobił przeczący ruch głową.

- Nie. Przepraszam, ale... nie mogę... złapać tchu - wykrztusił z trudem.

- Josephine, wracaj natychmiast!

Oboje zwrócili spojrzenia na tłum kłębiących się przed kościołem gości weselnych. Matka Josie stała nieco z boku, przywołując córkę do siebie.

Josie westchnęła.

- Przepraszam, ale muszę uśmiechnąć się do fotografii. Pogadamy w spokojniejszej chwili.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Spokojniejsza chwila długo jednak nie chciała nadejść. Kiedy po skończonej sesji zdjęciowej towarzystwo dotarło do domu, Josie musiała dojrzeć tysiąca szczegółów, witać się z gośćmi i wymieniać uprzejmości, a także sprawdzać co jakiś czas, jak się sprawują małe druhny poubierane w sukieneczki malinowego koloru.

Kiedy wreszcie goście zasiedli przy stołach i Josie mogła się spokojnie rozejrzeć po sali, Willa nigdzie nie było. Dlaczego tak szybko wrócił? Czy jego babci rzeczywiście nic się nie stało? Przez krótką chwilę, kiedy przed kościołem rozmawiali, miał taką dziwną minę.

Przy jednym ze stołów mignęły jej dwie spódniczki malinowego koloru. Do grona małych druhen należały dwie kuzyneczki Sophie, potwornie rozdozazywane bliźniaczki Jade i Amber, na które Josie od początku miała oko. Matka tych nieznośnych latorośli pewnie wołała się publicznie do nich nie przyznawać.

Dziewczynki były w nieustannym ruchu. Właśnie w tym momencie znikły pod jednym ze stołów przykrytych sięgającymi ziemi obrusami. Śledząc poruszenia niepokojonych pod stołem gości, Josie podążyła szybko w kierunku, gdzie, jak słusznie podejrzewała, małe psotnice mogły wyłonić się z ukrycia.

- Pójdziecie ze mną, i macie być grzeczne - oznajmiła stanowczo, chwytając każdą z nich za rękę.

Niestety, przyzwyczajona do posłusznej Hattie, nie przewidziała, że nieznośne smarkule wyrwą się z uścisku i zaczną po prostu uciekać.

Josie miała ochotę zakasać wąską spódnicę i rzucić się za nimi biegiem, lecz powstrzymała się na myśl o matce, która z pewnością nie zaaprobowałaby

takiego zachowania. Ograniczyła się więc do pospiesznego truchtu. Małe tymczasem znikły w drugiej sali, gdzie czekał na swój wielki moment wspaniały, zwieńczony misterną dekoracją czteropiętrowy tort.

Wszedłszy do sali, Josie zobaczyła, że bliźniaczki zwolniły wprawdzie, ale patrząc za siebie, całkowicie pochłonięte obserwowaniem podążającej za nimi surowej opiekunki, nie widzą, że tuż przed nimi stoi tort.

Nie chcąc ich prowokować do gwałtownych ruchów, Josie zwolniła jeszcze bardziej, cóż, kiedy Amber i Jade rzuciły się nagle do ucieczki, wpadając prosto na stolik z tortem.

Gdy stolik zachwiał się, Josie zmartwiała.

Tort też się zakołysał, ale bardzo lekko, i Josie wydawało się, że odzyska równowagę. Niestety, w tej samej chwili dostrzegła, że nierówno podparta najwyższa warstwa tortu zaczyna się osuwać.

Rzuciła się na ratunek z wyciągniętymi przed siebie rękami. Nie zdążyła, stała za daleko. Na szczęście inne zręczne ręce w ostatniej chwili pochwyciły nieszczęsny tort. Ręce Willa! Josie popatrzyła na niego z nieopisaną wdzięcznością.

Zwycięstwo było jednak połowiczne. Will zdołał wprawdzie złapać górną część tortu, lecz zdobiące go cukrowe kwiaty zsunęły się i z głośnym klapnięciem upadły na podłogę.

Jakby tego było mało, nieznośne bliźniaczki natychmiast przykucnęły, zbierając z ziemi i wtykając sobie do buzi szczątki cukrowych ozdób. Dopiero poczuwszy na sobie mordercze spojrzenie Josie, poderwały się i umknęły.

- Co mam z tym zrobić? - mruknął Will, trzymając uratowaną część tortu w sztywno wyciągniętych rękach.

- Przede wszystkim nie ruszaj się. Poczekaaj, zabiorę go od ciebie. - Will z ulgą oddał jej tort, uważając, by nie pobrudzić sobie mankietów koszuli. - Zjawileś się w samą porę. Skąd się tu wzięłeś?

- Obserwowałem twój pościg za dziewczynkami, a kiedy zbliżyłyście się do tortu, postanowiłem na wszelki wypadek być w pogotowiu.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Ale co z tego, kiedy dekoracje są nie do odratowania - mruknął Will. - Co robić? Nie można pokazać tortu w tym stanie. Jeżeli jego fotografia przedostanie się do prasy, będziemy się mogli pożegnać z nadzieją na rozkręcenie weselnego interesu.

Josie zmarszczyła brwi.

- Hm. Bez górnej części nie da się go podać. Będzie widać, że czegoś brakuje. - Znowu się zastanowiła, a potem, zwracając się do Willa, poleciła: - Biegnij do biura, przynieś stos papieru do kopiarki, parę ołówków i kolorowych markerów.

- Po co ci...?

- Nie ma czasu na tłumaczenia. Po prostu przynieś to, o co proszę!

Josie poszła jak gdyby nic do holu, gdzie goście jedli kolację, odnalazła swój bukiet druhny, po czym wróciła do nieszczęsnego tortu i szybko rozmontowała misternie skonstruowaną wiązanke.

W sali jadalnej jeszcze nie zaczęto przemówień. Będzie ich kilka, a sam ojciec Sophie, straszny gaduła, będzie nawijał przez dobre dwadzieścia minut. Josie odetchnęła z ulgą. Ma sporo czasu.

Ufna w swoje siły zaczęła ozdabiać szczyt tortu żywymi kwiatami. Po co robić sztuczne kwiaty, skoro prawdziwe są o tyle piękniejsze? Po paru minutach cofnęła się, by ocenić efekt.

Hm, nie wygląda to najlepiej. Trochę krzywo, w ogóle bez sensu. Pożałowała, że w młodości nie zgodziła się pójść do szkoły dla panien z dobrych domów. Gdyby ją skończyła, miałyby układanie kwiatów w małym palcu.

Nie ma rady. Zostało tylko jedno wyjście.

Wróciła do jadalni i podeszła do matki.

- Mamo? - szepnęła.

Matka popatrzyła na nią w taki sposób, jakby pytała: „Co znowu zmalowałaś?”.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Na twarzy matki odmalowało się niedowierzenie.

- Co powiedziałaś?

- Jesteś mi potrzebna.

- Ja? Tobie?

Josie skinęła głową. Przez cały czas nie zapomniała się uśmiechać, aby nikt nie pomyślał, że dzieje się coś niedobrego.

Na widok tortu matka załamała rękę.

- Jak to się mogło stać?

- Niecny sabotaż - ponurym tonem odparła Josie. - O ozdobach na szczycie tortu możemy zapomnieć. - Woląłem nie dodawać, że znalazły się w żołądkach Jade i Amber, które zauważyła przed chwilą w jadalni siedzące obok swojej matki z minami niewiniątek. - Próbowałam je zastąpić kwiatami z bukietu, ale nic mi nie wychodzi.

Matka nie traciła czasu. Podeszedłszy do tortu, zabrała się do demontowania nieudanej kompozycji córki.

- To naprawdę nie moja wina, mamo - dodała Josie.

- Wiem, Josephine. Muszę przyznać, że wykazałaś wielką przytomność umysłu.

Tym razem to Josie nie wierzyła własnym uszom.

- Dziękuję, mamó - szepnęła, spodziewając się, że matka nie wytrzyma i doda jakąś uszczypliwość, ale nic takiego nie nastąpiło. Matka była zbyt zajęta układaniem kwiatów.

Tort był gotowy, zanim pierwszy družba skończył przemówienie. Wyglądał jeszcze ładniej niż przedtem.

- Dziękuję, mamó. Uratowałaś mi życie.

- Nie mów głupstw, kochanie. - Matka odgarnęła jej z czoła niesforny kosmyk. - Świetnie się spisałaś, urządzając to naprawdę piękne wesele. Nie mogłam pozwolić, żeby twoja praca poszła na marne. - To powiedziawszy, poklepała córkę po ramieniu, odwróciła się i odeszła.

W oczach Josie zakręciły się łzy. W tym momencie do holu wpadł Will z papierem i ołówkami.

- Masz, chociaż nie mam pojęcia... - Urwał. - To po co przynosiłem to wszystko? - zapytał, nic już nie rozumiejąc.

- Mam dla ciebie ważne zadanie - odparła, prowadząc go do stojącego z boku pustego stołu. - Zbierzesz wszystkie dzieci poniżej dziesiątego roku życia, przyprowadzisz je tutaj i każesz im rysować. Powiedz, że to konkurs.

- Ja mam się zajmować dziećmi?

- A kto? Ja nie mogę, bo jako pierwsza drużna muszę wrócić do jadalni na toasty. - Odchodząc, odwróciła się jeszcze i rzuciła przez ramię: - Aha, byłabym zapomniała. Ty fundujesz w konkursie nagrodę. Wymyśl coś fajnego.

Goście krążyli po trawniku, popijając roznoszonego przez kelnerów szampana. Will, któremu udało się wreszcie uwolnić od roli niańki, wyruszył razem z Hattie na poszukiwanie Josie.

Po paru chwilach wypatrzyli ją w tłumie i Hattie puściła się pędem w jej kierunku. Will miał ochotę zrobić to samo, ale musiał niestety trzymać fason.

Zwłaszcza że jego mało konwencjonalna w codziennym życiu współpracownica zdawała się idealnie pasować do eleganckiego towarzystwa.

Obserwując, z jaką niewymuszoną swobodą prowadzi rozmowę z grupą utytułowanych gości, nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego niedawno uznał, że nie powinien się do niej zanadto zbliżać. Wprawdzie formalnie była jego pracownicą, ale przecież nigdy jej w ten sposób nie traktował. Widział w niej raczej przyjaciela i równego sobie partnera.

- Witaj, Williamie. Piękne wesele. Odwróciwszy się, zobaczył przed sobą lady Beaufort.

- Witam. Co za miłe spotkanie. Cieszę się, że przyjęcie znalazło w twoich oczach uznanie.

- Miałeś szczęście, że wszystko poszło gładko - odrzekła złośliwa dama, spoglądając na niego spod zmrużonych powiek. - Ta dziewczyna to poważne obciążenie.

Will zeszywniał.

- Jeśli poszło gładko, to wyłącznie dzięki niej - oświadczył.

- Widzę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni - zaśmiała się Beatrice. - Najpierw twój dziadek, a teraz ty...

W Willu wszystko się zagotowało. Jak można porównywać Josie z tancerką z podrzędnego nocnego klubu! Zresztą nawet gdyby nią była, nie miało to najmniejszego znaczenia. W przeciwieństwie do rozmawiającej z nim czarownicy, Josie jest prawdziwą damą, w najpełniejszym sensie tego słowa.

- Ale chyba nie jesteś na tyle głupi, żeby się w niej zakochać? - ciągnęła Beatrice. - Wiesz, jaką ona ma opinię. Rozumiemy się, czyż nie?

- Lepiej, niż ci się wydaje - odparł zimno.

Will usiadł na kamiennej balustradzie fontanny, obserwując zachodzące za drzewami słońce, po czym przeniósł wzrok na spacerujących, popijających szampana albo tańczących gości.

Miał wrażenie, że wszystko to odbywa się jakby w innym wymiarze, jest tylko kaprysem wyobraźni i zaraz zniknie, wystarczy zamknąć na chwilę oczy.

Jacy oni są bezwzględni, myślał. Chociaż Josie dowiodła, że jest osobą dzielną i odpowiedzialną, oni nie mogą jej zapomnieć dawnych błędów. Widocznie w jej kręgach nie wybacza się nikomu, kto raz przekroczy ustalone granice. Nic dziwnego, że zerwała ze środowiskiem, w którym stale jej przypomniano o tym, o czym rozpaczliwie starała się zapomnieć.

A on był na tyle niemądry, by się łudzić, że tytuł lorda Radcliffe'a i związana z tym przynależność do najwyższych sfer przyniesie mu wewnętrzną wolność i uznanie, o które dobijał się przez całe życie.

Teraz widział, jak bardzo był naiwny. Gdyby nie był przekonany, że Piers Beaufort doprowadziłby Elmhurst Hall do ostatecznej ruiny, jeszcze dziś z pocałowaniem ręki oddałby mu swoje dziedzictwo.

Wstał z kamiennej balustrady i, starannie otrzepawszy spodnie, ruszył w kierunku bawiących się ludzi. Wchodząc na schodki prowadzące na główny trawnik, dostrzegł siedzącą na stopniu skuloną i szlochającą figurkę w malinowej spódniczce.

- Hattie, co ci się stało?

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej się skuliła.

- Chcesz, żebym poszukał mamy? Mała bez słowa pokręciła główką.

- To może babcię?

Hattie znowu pokręciła główką i rozszlochała się jeszcze głośniej.

Will poczuł się bezradny. Łamiąc sobie głowę, co mogło się wydarzyć, zapytał:

- Uderzyłaś się albo coś cię boli?
- Nie - mruknęła, pociągając nosem.

To już coś.

- Czy ktoś zrobił ci przykrość? Powiedział coś nieprzyjemnego?

Dziewczynka rozszlochała się na nowo. Podniósł ją ze schodów i posadził sobie na kolanach.

- Kto to był?
- Jade i Amber.
- Co ci powiedziały?
- Że nie jestem prawdziwą księżniczką, bo nie umiem tańczyć.
- Jak to, przecież widziałem, jak parę dni temu tańczyłaś w ogrodzie.

Bardzo ładnie i zgrabnie - odparł Will, uśmiechając się pod nosem.

Hattie rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

- Nie chodzi o takie tam tańczenie, ale o prawdziwy taniec. Amber powiedziała, że każda prawdziwa księżniczka umie tańczyć walca.

- Aha. I pewnie one obie umieją tańczyć walca.

- No. Mama posyła je na lekcje tańca. A ja chodzę tylko na balet.

- Hm. Moim zdaniem masz wszystkie dane na to, żeby zasługiwać na tytuł księżniczki - odparł Will z powagą. - Poczekaj, zaraz to sprawdzimy. - Wyciągnąwszy z kieszeni notatnik, udał, że pilnie go przegląda. - Długie falujące włosy opadające na ramiona. - Popatrzył na Hattie i skinął głową. - Punkt dla ciebie. - Wielkie błyszczące oczy. - Zaglądając jej w oczy, niemal przytknął twarz do jej buzi i potarł jej nosek swoim nosem. Mała zachichotała. - Zgadza się. Co my tu jeszcze mamy? Aha. Drobne stópkę mieszczące się w szklanym pantofelkach. - Ostatnie słowa przywiodły Willowi na myśl kształtne stopy Josie, toteż westchnął głęboko.

- No i co, Will? Czy mam za duże stopy? - przywołała go do porządku Hattie.

- Ach nie, są akurat takie, jak trzeba. Jeszcze raz wszystko sprawdzę. - Znowu udał, że sprawdza coś w notatniku. - Niczego ci nie brakuje. Jesteś najprawdziwszą księżniczką - orzekł.

Podniósł się i wyciągnął do niej rękę.

- Chodź, pokażemy Jade i Amber, jak się tańczy walca. - Wziął Hattie na rękę i tańcząc walca, zaczął się posuwać w stronę parkietu. - Nie tylko jesteś księżniczką, ale tańczysz walca z prawdziwym księciem. A czy Jade albo Amber mają księcia za partnera?

Rozchichotana Hattie wychyliła główkę zza jego ramienia i zobaczyła stojące nieopodal bliźniaczki, które patrzyły na nią z kwaśną miną.

- Nie. One mają do tańca tylko swoich starszych braci. W dodatku jeden z nich pachnie kapustą - z niekłamanym zadowoleniem odparła Hattie.

Josie była do głębi wzruszona. Jak mogła uważać Willa za pozbawionego serca sztywniaka? Patrząc na rozradowaną Hattie, z trudem powstrzymywała łzy wdzięczności.

Kwadrans temu usłyszała przypadkiem sprzeczkę bliźniaczek z jej córką i widziała, jak Hattie ucieka z płaczem. Pobiegła za nią, ale dziewczynka znikła w ciemnościach i Josie na próżno jej szukała. Była już na serio zaniepokojona, kiedy niespodziewanie dostrzegła ją w ramionach tańczącego Willa.

Odczekawszy, aż muzyka ucichnie, podeszła do nich.

- Zdaje się, że mama domaga się swojej kolejki - powiedział Will, stawiając Hattie na podłodze. - Biegnij do babci i poproś o kawałek ciasta z truskawkami.

Hattie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Pobiegnęła w podskokach w kierunku bufetu, zostawiając matkę sam na sam z Willem, który objął Josie w pasie, bez słowa porwał ją do następnego tańca.

- Nieźle prowadzisz - pochwaliła go Josie.

- Tobie też nic nie brakuje. Nie muszę prowadzić, po prostu dostosowuję się do twoich kroków.

Josie chyba pierwszy raz w życiu nie przychodziła do głowy żadna błyskotliwa riposta. Było jej zbyt dobrze w ramionach Willa. Czuła się w nich bezpieczna, co też było dla niej nowością.

- Jak się miewa twoja babcia? - zapytała.

- Policja podejrzewa, że nie było żadnego włamania. Nic nie zginęło.

Bardzo możliwe, że babcia po prostu zapomniała zamknąć drzwi na klucz, wychodząc z domu.

- Często jej się to zdarza?

- Normalnie nie, ale dwa dni temu była rocznica śmierci dziadka, a babcia bardzo to zawsze przeżywa.

- I ty w takim momencie zostawiłeś ją samą? - oburzyła się Josie. - Tylko po to, żeby być na weselu?

Teraz on poczuł się dotknięty

- Naprawdę tak źle o mnie myślisz? Oczywiście, że nie zostawiłem jej samej. Przywiozłem ją do Elmhurst Hall.

Jak mogła być wobec niego tak niesprawiedliwa? Josie poczuła dziwny ucisk w piersi. To pewnie przez tę zasznurowaną suknię. I niewygodne pantofle. Tak w każdym razie woląca myśleć. Rozpatrywanie innej przyczyny prowadziłoby w zbyt niebezpieczne rejony.

Kiedy muzyka ucichła, ogłoszono, że nadszedł czas, by pożegnać odjeżdżających państwa młodych i towarzystwo zaczęło przepływać na dziedziniec,

gdzie czekał już ozdobiony wstążkami i obwieszony pustymi puszkami samochodów.

Stojąc w półokręgu otaczającym uśmiechniętych Sophie i Alfiego, Josie poczuła, że Will nadal obejmuje ją w pasie. Nie wiedziała, jak zareagować. Zamiast z nim flirtować, powinna szukać stosownej kandydatki na żonę lorda Radcliffe'a i matkę jego dzieci.

Z zamyślenia wyrwała ją cisza, jaka zapanowała w momencie, gdy Sophie podnosiła w górę ślubny bukiet. W następnej chwili wiązanka poszybowała w powietrze, kierując się w locie wprost na Josie. Ta bezskutecznie próbowała się cofnąć, ale w gęstym tłumie nie mogła zrobić nawet kroku. Bukiet trafił ją w głowę, odbił się od niej i wpadł prosto w ręce Willa.

Wśród zebranych rozległy się śmiechy i brawa, gdy tymczasem mimowolny odbiorca bukietu stał nieco ogłupiały, nie wiedząc, co z tym fantem począć.

- Padło raczej na ciebie niż na mnie - nieswoim głosem mruknęła Josie, rumieniąc się jak burak.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na szczęście zajęci żegnaniem odjeżdżającej pary goście nie poświęcili Willowi i Josie wiele uwagi. Kiedy samochód ruszył, a tłum podążył za nim do bramy, zostali na dziedzińcu sami.

- Wiesz, Will, co ci powiem? - zapytała Josie.

- Co takiego? - mruknął, chowając bukiet za plecami.

- Udało się! Odnieśliśmy zwycięstwo! - wykrzyknęła radośnie.

- Masz na myśli wesele? Rzeczywiście się udało. Ale to jest twoje zwycięstwo.

- Nasze wspólne. A następnym razem pójdzie łatwiej, bo już mamy więcej doświadczenia. No i nie będziemy mieli do czynienia z najbliższą rodziną - powiedziała Josie, po czym, pod wpływem nagłego impulsu, wspięła się na palce i pocałowała go.

Miał to być króciutki przyjacielski pocałunek, który jednak trwał i trwał. W dodatku Will, który nie wiadomo jak pozbył się bukietu, objął ją i wcale nie zamierzał wypuścić z uścisku.

Długo trwało, zanim wreszcie oderwali się od siebie.

- Za co... czym zasłużyłem? - wybąkał. Przyzwyczajona ukrywać swoje prawdziwe uczucia Josie i tym razem odruchowo obróciła wszystko w żart. Ostatecznie należy mu się po tym pocałunku tamtego wieczoru w ogrodzie.

- W ten sposób będziemy kwita - odparła, wyzwalając się ostatecznie z jego ramion.

Hattie siedziała u babci na kolanach, zjadając kolejny kawałek ciasta z truskawkami.

- Chodź, kochanie, najwyższy czas pójść do łóżka - powiedziała Josie.

- Ale najpierw chcę jeszcze raz zatańczyć z Willem.

Josie otarła jej usmarowaną truskawkami buzię.

- Zrobiło się bardzo późno, jesteś zmęczona.

- Wcale nie - odparła dziewczynka, ziewając.

- No chodź, kochanie.

Mała posłusznie zeskoczyła z kolan babci i podała matce rączkę.

- Zaraz idziemy, ale najpierw pobiegnij do dziadka i powiedz mu dobranoc - rzekła Josie.

Skinąwszy główką, Hattie pobiegła szukać dziadka.

- Nie patrz tak na mnie, mamó. Ja też nie wiem, skąd mi się wzięło takie grzeczne dziecko. Zupełnie inne niż ja.

- To prawda, ty od małego na wszystko mówiłaś „nie”. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się buntujesz przeciwko wszelkim ograniczeniom.

Josie na dobrą sprawę sama nie bardzo wiedziała, skąd się to u niej brało. Dlaczego uważała, że posłuszeństwo jakimkolwiek regułom ograniczy, a nawet odbierze jej wolność.

Matka podniosła się z krzesła.

- Ale widzę, że nawet to potrafisz obrócić na swoją korzyść - dodała z lekkim uśmiechem.

- Nie rozumiem.

- No cóż, zdaje się, że umiesz nie tylko urządzać wesela. - Nachyliwszy się, szepnęła córce do ucha: - Gratuluję, świetna partia.

- Widziałaś nas? - wyrwało się Josie. Matka lekko podniosła brwi. - To nic nie... to nie tak. Mamó, dlaczego tak na mnie patrzysz?

- W każdym razie masz moje błogosławieństwo. A już zaczynałam się martwić, że nie znajdziesz sobie nikogo odpowiedniego.

- Nikogo nie szukam. Wolę być samodzielna - z godnością odparła Josie. Widząc zbliżającą się Hattie, dodała: - Zresztą nieważne, niemniej dziękuję za wotum zaufania. Dobranoc, mamó.

Wzięła córkę za rękę i poprowadziła ją do domu.

Wszystko się w niej gotowało na myśl o matce, która zamiast docenić jej samodzielność i przedsiębiorczość, cieszyła się tylko z tego, że ma szansę „złapać odpowiedniego męża”.

I skąd przyszło jej do głowy, że Josie czuje coś do Willa, nie mówiąc o zamiarze wyjścia za niego za mąż?

Ledwo to pomyślała, w głębi jej świadomości odezwał się wewnętrzny głos: Po co się oszukujesz? Dobrze wiesz, że Will bardzo ci się podoba. Jesteś na najlepszej drodze, żeby się w nim zakochać.

- To nieprawda! - powiedziała na głos.

- Mamó, znowu mówisz do siebie - upomniała ją Hattie. - Jestem okropnie zmęczona, weź mnie na ręce.

- No dobrze, wskakuj - odparła Josie, zadowolona, że mała nie domaga się wyjaśnienia jej nieoczekiwanych słów. Po paru krokach westchnęła. - Ależ ty jesteś ciężka. Musiałaś chyba zjeść połowę truskawkowego ciasta.

- Pozwól, że ją zaniosę - usłyszała za plecami głos Willa.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale nogi tak ją bolały od chodzenia w niewygodnych pantoflach, że szybko się poddała. Kiedy Will wyciągnął ręce, mała Zdrajczyni przeskoczyła ochoczo w męskie objęcia.

- Po co ja się tak męczę! - zawołała nagle Josie i dwoma energicznymi wyrzutami stóp posłała oba pantofle w krzaki.

Idący obok niej Will poprawił w ramionach zasypiającą Hattie. Josie pogłaskała głowę córeczki i ich spojrzenia się spotkały. Miała ochotę zapytać: Co to było? Tamten pocałunek na dziedzińcu? Do czego to wszystko zmierza?

Kiedy znaleźli się pod drzwiami dozorcówki, Will oddał Josie zasypiającą w jego ramionach dziewczynkę, a sam został na schodkach. Wiedział, że jedna z dziewcząt obsługujących wesele zgodziła się zaopiekować Hattie przez resztę nocy, by jej matka mogła dotrzeć do końca przyjęcia i zarządzić sprzątnięcie.

Will czekał więc na powrót Josie, obiecując sobie, że nie da się spławić byle czym. Musiał się dowiedzieć, dlaczego czasami okazuje mu czułość, a w następnej chwili mrozi go chłodem.

Josie nie była zaskoczona widokiem czekającego przed domem Willa. Ale też nie robiła wrażenia zachwyconej jego obecnością.

- Muszę odszukać swoje pantofle - oświadczyła. Skinąwszy głową, ruszył razem z nią ogrodową alejką ku miejscu, gdzie zrzuciła z nóg niewygodne obuwie. - Może to głupie, ale dziś nie umiem już tak łatwo wyrzucać rzeczy, nawet jeśli czegoś nie lubię - powiedziała, rozgarniając gałęzie rosnących obok alejki krzewów.

Will lekko się uśmiechnął.

- A dawniej miałaś zwyczaj wyrzucać buty?

- O, jest! - zawołała, wyciągając z gęstwiny ciemnoczerwony pantofel. - Czy wyrzucałam buty? O tak. W swoim czasie pozbyłam się wielu par eleganckich butów, jeśli tylko zaczynały mnie cisnąć.

Srebrzystolawendowy blask księżyca utrudniał rozróżnianie barw, niemniej Will dostrzegł połyskujący wśród paproci drugi pantofel.

Josie podziękowała mu, po czym popatrzyła niechętnie w kierunku, skąd dochodziły odgłosy zabawy.

- Nie masz ochoty tam wracać? - zapytał Will.

- Nie bardzo - przyznała. - Dostyc mam tego pustego gadania. Nie mówiąc już o butach.

Zrobiła ruch, jakby chciała je znowu wyrzucić w krzaki, ale Will wyjął jej w porę pantofle z rąk.

- Ja się nimi zaopiekuję. Nie mam ochoty czołgać się przez resztę nocy w krzakach.

- Ech, prędzej czy później i tak będę musiała znowu je włożyć.

- Dlaczego?

- Bo mogę być potrzebna.

- Myślę, że przez jakiś czas dadzą sobie radę bez nas. Zróbmy sobie małe wagary.

- Wspaniale, w szkole uwielbiałam chodzić na wagary.

Wyjęła mu z rąk pantofel i pozwoliła się pociągnąć w głąb ogrodu.

Na niebie zabłyśły pierwsze gwiazdy. Josie i Will siedzieli na pokrytym trawą łagodnym stoku w jednej z „komnat” ogrodowego labiryntu. Josie siedziała z podkurczonymi kolanami, a Will naprzeciw niej, w identycznej pozie.

- Moje biedne udręczone nogi - pożałowała się i podciągnawszy spódnicę, przyjrzała się swoim stopom.

Will oderwał oczy od rozgwieżdżonego nieba. Zapadło pełne napięcia milczenie. Josie wstrzymała oddech, bojąc się poruszyć. Nadal nic nie mówiąc, Will wyciągnął ręce, ujął jej prawą stopę w obie dłonie i zaczął ją masować.

W pierwszej chwili poczuła skrępowanie, które jednak wkrótce ustąpiło uczuciu miłego ciepła i głębokiej ulgi.

A także czegoś więcej: intymnego zmysłowego porozumienia. Josie bała się odezwać, by nie rozwiać dziwnego czaru, jaki się wokół nich roztaczał.

Will tymczasem delikatnie odstawił jej prawą stopę i ujął lewą.

Do czego to zmierza? - zapytała się ponownie i zamknawszy oczy, opadła na plecy, poddając się łagodzącej ból pieszczocie jego rąk.

Kiedy Will zakończył swe zabiegi, ogarnęły ją dwa sprzeczne uczucia: ulgi, a zarazem zawodu. On tymczasem położył się obok niej.

Kusiło ją, by jakimś dowcipem przerwać przedłużające się milczenie, ale - rzecz u niej rzadka - nie była w stanie otworzyć ust.

Will tymczasem ujął jej rękę i ich palce splotły się. Działo się między nimi coś niezwykłego. Josie jeszcze nigdy w swoim burzliwym, obfitującym w bardziej lub mniej poważne flirty i romanse życiu nie doznała podobnej mieszaniny radosnego oczekiwania i graniczącego z przerażeniem niepokoju.

Kiedy matka godzinę temu dała jej do zrozumienia, że jest gotowa zaaprobować jej związek z Willem, Josie w pierwszym odruchu uznała, że matka mówi głupstwa.

Nadal zresztą uważała, że to niemożliwe. Pójście za radą matki miałyby katastrofalne skutki. Will nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną, nie chciała żyć tak jak on. Małżeństwo z nim oznaczałoby niekończący się łańcuch przyjęć podobnych do dzisiejszego. To samo czekałoby Hattie.

Cóż, kiedy mówiąc sobie, że powinna natychmiast wstać i odejść, nie tylko nie była w stanie się ruszyć, ale całą sobą poddawała się czarowi bliskości Willa i ich złączonych dłoni. Powoli zwróciła twarz w jego stronę, a on po sekundzie uczynił to samo.

Było mu wszystko jedno. Wiedział, że wiele rzeczy przemawia przeciwko niej, ale miał to w nosie. Znał jej przeszłość, znał jej buntowniczą naturę i skłonność do wywoływania skandali, lecz wszystko to nie przeszkadzało mu pożerać jej wzrokiem. Patrzył na nią tak, jakby chciał zatopić się w jej oczach na zawsze.

Nareszcie odnalazł to, czego od dawna szukał. I bynajmniej nie w odzyskanym tytule, społecznej pozycji czy powodzeniu w interesach. To były błęd-

ne drogi, które nie prowadziły do celu. Mylił się, sądząc, że podążając nimi, osiągnie szczęście.

Różowe włosy Josie, jej pozorna bezczelność i niepoohamowany język nie mają najmniejszego znaczenia. Ważne są tylko jej gorące serce, wyobraźnia, przyjaźń i wrażliwość.

Kiedy Josie przewróciła się na bok i dotknęła jego policzka, miał ochotę zamknąć powieki, aby jeszcze intensywniej chłonać dotyk jej palców, lecz powstrzymała go wycierająca z jej oczu nieskończona czułość. Nie był pewien, które z nich wykonało pierwszy ruch, dość, że sekundę później ich usta złączył pocałunek.

Pocałunek niepodobny do poprzednich. Tamte zrodziły się pod wpływem niekontrolowanego impulsu, podczas gdy tym razem Will zdawał sobie w pełni sprawę, kogo i dlaczego całuje. Jakby po raz pierwszy zobaczył, kim Josie naprawdę jest.

I po raz pierwszy zrozumiał, że ją kocha.

- Och, Josie - szepnął, przytulając ją do siebie.

Ona lekko się cofnęła. Na jej twarzy malowały się niewypowiedziane pytania. Uśmiechnąwszy się lekko na myśl, że Josie chyba pierwszy raz w życiu zapomniała języka w buzi, Will znowu ją pocałował.

Rozległ się głośny szmer, coś trzasnęło, rozbłysło światło flesza.

Gwałtownie od siebie odskoczyli.

- Jeff! - wrzasnęła Josie, zrywając się na nogi. - Zabiję cię! Ten drań zrobił nam zdjęcie!

Oślepiiony fleszem Will też się poderwał.

- Josie, poczekaj! - zawołał, chwytając ją za rękę.

- Trzeba go dogonić i powstrzymać.

- Nie przejmuj się. W końcu to tylko zdjęcie.

- Nie rozumiesz? - rzekła, ciągnąc go w kierunku alejki. - Zrobi się z tego sensacja. Brukowce znowu popsują ci opinię. - Była bliska łez. - Strasznie cię przepraszam, Will. To moja wina.

Uwolnwszy się od jego ręki, pobiegła ku wyjściu z ogrodu. Will ruszył za nią.

- Uspokój się - poprosił. - Nie możesz go gonić tak ubrana. Wróc przynajmniej do domu i włóż inne buty. No, bardzo proszę. - Popatrzył jej czule w oczy.

Kiedy Josie w milczeniu skinęła głową, Will odwrócił się i podążył w kierunku głównego trawnika.

Nie da jej skrzywdzić.

Josie udawała, że nie obchodzi jej ludzkie gadanie, ale Will wiedział swoje. Pamiętał, jak zmieniła się na twarzy, kiedy w trakcie pamiętnej kolacji Piers wspomniał o jej aresztowaniu i wynikłym stąd towarzyskim skandalu. Josie dokonała bohaterskiego wysiłku, żeby zmienić swoje życie. Nie pozwoli, by jedna fotografia obróciła to wniwecz.

Obszedł główny trawnik i taras, ale nie dostrzegł Jeffa. Potem okrążył dom z równie negatywnym skutkiem. Zastanawiając się, gdzie fotograf może się podziewać, doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej jest nadal w pałacowych ogrodach.

Puścił się biegiem w powrotną drogę. Znalazłszy się na obrzeżach ogrodu, zwolnił kroku i szedł dalej przed siebie, starając się robić jak najmniej hałasu i nastawiając uszu.

Jego ostrożność została nagrodzona. W prześwicie między ogrodem różanym a grządkami ziół mignął mu czyjś cień, a jednocześnie do uszu Willa doszły odgłosy jednostronnej rozmowy. Zupełnie jakby ktoś mówił do telefonu. Podeszedł bliżej i, przycupnąwszy za żywopłotem, wyteńczył słuch.

- Mówię ci, stary, trafiłem coś super. Skończyłem fotografować wesele i już miałem się zbierać do domu, kiedy natknąłem się na nader ciekawą scenkę. „Celebrity Life” tego nie weźmie, to nie w ich stylu, ale ciebie na pewno zainteresuje. - Po krótkim milczeniu ten sam głos dodał: - Jasne. Wyślę ci fotkę mailem najszybciej, jak się da. Jak tylko się wyplączę z tego cholernego ogrodu.

Will uśmiechnął się do siebie. Wiedział doskonale, gdzie fotograf się znajduje i domyślił się, w którą pójdzie stronę. Wystarczy poczekać. Przekradł się po cichu ku wybranej alejce, a gdy fotograf, który nadal mówił do telefonu, znalazł się obok niego, wyskoczył zza krzaka i wyrywał mu komórkę z ręki.

- Zatrzymam ją sobie - oświadczył. Zaskoczony Jeff zatoczył się do tyłu.
- Miał pan wykonać ściśle określoną pracę, a pan tymczasem wdarł się bez zezwolenia na prywatny teren nie objęty umową.

- W umowie stoi, że mam zrobić zarówno oficjalne fotografie ze ślubu, jak i mniej formalne zdjęcia z weselnego przyjęcia. Udało mi się nawet zrobić waszą fotkę w bardzo nieformalnej pozie - beczelnie zaśmiał się Jeff.

Will miał szczerą ochotę zdzielić bydlaka w szczękę. Uznał jednak, że ze względu na dobro Josie nie powinien go zrażać.

- Co mam zaoferować za rezygnację z opublikowania ostatniego zdjęcia?

- Nic z tego. Za tę fotkę dostanę pewnie z pięć patyków. Will dałby mu chętnie dziesięć, gdyby tyle miał. Niestety, remont pochłonął wszystkie jego zasoby.

- A gdybym w zamian zaoferował panu coś równie korzystnego?

- Na byle co się nie połaszczę.

- Widzi pan, za tydzień otwieramy w Elmhurst specjalną wystawę. Mogę panu zaproponować wyłączność na robienie zdjęć z wernisazu dla „Celebrity Life”.

Jeff skrzywił się.

- No może. Ale pod warunkiem, że miałbym okazję do strzelenia czegoś równie... smakowitego jak to tutaj.

Will znowu miał ochotę strzelić go w ten wredny pysk. Podniósł oczy do nieba, desperacko szukając pomysłu. Nagle go olśniło.

- Zgoda. Co by pan powiedział na wyłączność do...?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Josie nie pamiętała, kiedy ostatni raz zastanawiała się, co na siebie włożyć.

Normalnie chwyciła pierwszą możliwie krzykliwą rzecz, jaka po otwarciu szafy wpadła jej w oczy. Tym razem zdecydowała się na neutralną, pozbawioną jakiegokolwiek napisu trykotową bluzkę. Większość jej ubrań zdawała się krzyczeć: „Patrzcie na mnie!”, „Musicie zwrócić na mnie uwagę!”.

Dzisiaj zależało jej na spojrzeniach tylko jednego człowieka. Który, jak zdążyła się przekonać, nie lubi ostentacji.

- Hattie, jesteś gotowa?

- Tak, mam - odparła dziewczynka, stając w drzwiach matczynej sypialni.

- Dziś ja będę księżniczką, a ty trollem - powiedziała Josie, spoglądając z zadowoleniem w lustro. Mimo braku makijażu jej twarz po prostu jaśniała.

Byłoby cudownie, gdyby nie ten przekłety Jeff, pomyślała. Wczoraj po powrocie do domu przebrała się i poszła go szukać, ale znikł jak kamień w wodę. Jedyna nadzieja w tym, że Will zdołał go dopaść.

Z ciężkim westchnieniem odwróciła się od lustra.

Był piękny słoneczny poranek niedzielny. Idąc z Hattie w kierunku pałacu, Josie wspominała różne momenty wczorajszego dnia. Pożegnanie odjeżdżających państwa młodych, pocałunek z Willem, chwile, kiedy tańczyła na trawniku w jego ramionach i to, co potem wydarzyło się w ogrodzie.

Zbliżając się do fontanny, zauważyła nieznaną starszą panią, która stała nieruchomo na trawniku, wpatrując się w Elmhurst Hall. Miała starannie uczesane włosy, a na sobie elegancki brązowy kostium.

Hattie puściła rękę matki i pobiegła za fruującym z kwiatka na kwiatek motylem.

- Dzień dobry pani - powiedziała Josie, zbliżając się do starszej pani. - Pani jest pewnie Ruby, prawda?

- Tak. Jak się pani domyśliła?

- Mam na imię Josie. Jestem... - zawahała się. - Pracuję u Willa. Wspomniał mi o pani przyjeździe.

Ruby znowu popatrzyła na Elmhurst Hall.

- Byłam tu kiedyś, wiele lat temu. Znałam za młodu poprzedniego właściciela. - Josie udała zdziwienie. Woląła nie zdradzać, że zna jej historię. - Miał do mnie słabość - ciągnęła Ruby. - W pewnej chwili miałam nawet nadzieję, że mi się oświadczy. Na szczęście nie zrobił tego. Bo poznał mnie ze swoim bratem, dziadkiem Willa. Dwa miesiące później byliśmy po ślubie. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Dopiero dziś w pełni doceniam, ile dla mnie poświęcił.

W tym momencie przybiegła Hattie.

- Dzień dobry. Czy zostanie pani królową wróżek?

- Pozwól, Ruby, że ci przedstawię moją córeczkę Hattie - wtrąciła Josie. - Hattie ma pięć lat i lubi sobie wyobrazać, że żyje w świecie bajek.

Ruby natychmiast się rozpogodziła.

- Chętnie będę królową wróżek - rzekła z miłym uśmiechem.

- Co byś powiedziała, kochanie, na zabawę w chowanego? - wtrąciła Josie. - Biegnij się schować, a ja i Ruby policzymy do stu. Co ty na to?

Hattie ochoczo skinęła główką. Po chwili już jej nie było.

Co jej znowu przyszło do głowy? - myślał Will, przyglądając się przez okno swojej babce obiegającej tanecznym krokiem fontannę w ogrodzie. W następnej chwili dostrzegł podążającą w jej ślady Hattie i wszystko stało się jasne. Zwłaszcza gdy zza krzaków wyłoniła się Josie, która biegła za nimi jako troll, robiąc straszne miny i wściekle wymachując rękami.

No tak, uśmiechnął się Will. Było do przewidzenia, że jego babka i Josie przypadną sobie do gustu.

Odsunął się od okna i popadł w zadumę. Josie to jego Ruby. Może wybrać jedno z dwóch: albo pójść w ślady Harry'ego, czyli ulec rodzinnej presji, aby potem do końca życia żałować swojej decyzji, albo też, za przykładem dziadka, posłuchać głosu serca, na nikogo się nie oglądając.

Popatrzył na wiszącą nad kominkiem herbową tarczę. Beatrice jasno dała mu do zrozumienia, iż uważa go za prostaka, który niechybnie przyniesie rodzinie wstyd.

Na widok zbiegającego z tarasu Willa Josie znieruchomiała. Hattie ciągnęła ją za rękę, chcąc się bawić dalej, ale Josie nie była w stanie zrobić kroku.

- Cześć - powiedział Will.

- Cześć.

Ruby też przerwała taniec. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na Josie i Willa, aby powiedzieć:

- Wiesz co, Hattie? Myślę, że najwyższy czas, żebyś oprowadziła mnie po parku i ogrodzie.

Josie i Will zostali sami. Znając Willa, Josie sądziła, że swoim zwyczajem zachowa się sztywno albo zrobi jakąś obojętną uwagę. Jakież było jej zdumienie, gdy chwycił ją w ramiona i obsypał pocałunkami. Takim go jeszcze nie widziała. Całował jej usta, policzki, powieki, szyję. Josie zapomniała o bożym świecie.

Po bardzo długim czasie wypuścił ją z uścisku, wziął za rękę i poprowadził w głąb ogrodu. W pewnym momencie zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. Wiedziała, co powie, nim otworzył usta.

- Kocham cię, Josie - usłyszała.

Tylko tyle. I aż tyle. Josie nagle doceniła potęgę powściągliwości. Zamiast, wbrew swoim zwyczajom, zareagować wybuchem gwałtownie demonstrowanej radości, wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Ja też cię kocham - powiedziała łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Na to on znowu ją zadziwił. Poderwawszy Josie z ziemi, jakby nic nie ważyła, roześmiał się na cały głos.

- Tyle chciałem ci powiedzieć, ale mi nie wyszło.

- Wystarczy to, co powiedziałaś.

Znowu się roześmiał.

- Ale pozwól, że jednak spróbuję. - Josie serce tłukło się w piersi. Tymczasem Will postawił ją na ziemi i cofnąwszy się o krok, zapytał: - Czy pozwolisz zaprosić się wieczorem na kolację?

Poczuła zawód. Nie to spodziewała się usłyszeć. Miał jednak tak zabawnie niepewną minę, że nie mogła się nie roześmiać. Wykonawszy ceremonialne dygnięcie, odparła:

- Będę zaszczycona, lordzie Radcliffe, mogąc zjeść z panem kolację.

- Nie mów tak do mnie. Jesteśmy po prostu Willem i Josie. Tylko to się liczy.

- A co z Jeffem i jego fotografią? Zdołałeś się z nim rozmówić?

Will objął ją i pocałował w czubek głowy.

- Nie martw się o niego.

Przechodząc obok uchylonych drzwi gabinetu Josie, Will usłyszał szelest przerzucanych nerwowo papierów. Zatrzymał się i zajrzał przez szparę w drzwiach. Josie siedziała za biurkiem, na którym piętrzyły się kolorowe czasopisma. Niektóre, widać już przejrzone, leżały porozrzucone na podłodze. Josie była nimi zbyt zaabsorbowana, aby poczuć, że ktoś na nią patrzy.

Dobrze wiedział, czego Josie szuka w brukowcach. Wiedział też, że fatalnego zdjęcia w nich nie ma.

Odszedł cicho od drzwi. Znalazłszy się w swoim gabinecie, usiadł za biurkiem i popadł w zadumę. Jeff dał mu dwa tygodnie na zrealizowanie interesującej propozycji. Od tamtej pory minęło pięć dni, a on nadal bił się z myślami.

Nie miał wątpliwości, że pragnie z całego serca, by Josie została jego żoną. Ale sprawa nie jest prosta. Nie wątpił w siłę jej uczucia, miał natomiast wątpliwości, czy może od niej żądać, aby w tak krótkim czasie zmieniła swój sposób myślenia.

Josie wyrzekła się tytułu i wszystkiego, co w jej mniemaniu z tym się wiązało, a on tymczasem chce jej zaproponować powrót do świata, którego nienawidziła i z którego uciekła.

Will zawsze starał się spełniać wymagania, jakie na jego rodzinę nakładała tradycja. Robił wszystko, co mógł, żeby tej tradycji sprostać. Żeniąc się z farbującą włosy na różowo buntowniczką odstąpi od swoich zasad, ale cóż to znaczy, skoro nad wszystko w świecie pragnie zostać jej mężem i opiekunem Hattie?

Zostało dziewięć dni. Czy przez ten czas zdąży przełamać jej opory? I jak ma to zrobić? Podejrzał, że same słowa nie zdołają jej przekonać.

Otwarcie wystawy zbiorów Harry'ego było zaplanowane na następną sobotę. Zapowiedź wywołała nadspodziewanie duże zainteresowanie zarówno publiczności, jak i prasy. W niedzielnym dodatku do jednego z czołowych magazynów miał się ukazać artykuł o życiu Harry'ego Radcliffe'a.

Prognozy finansowe też wyglądały nie najgorzej. Jeżeli wystawa będzie przynosić spodziewane dochody i zaczną wpływać zamówienia na wesela, Elmhurst Hall zostanie uratowane. W ciągu kilku lat spłaci się długi i posiadłość rozkwitnie.

Wszystko to jednak nie da mu szczęścia, jeżeli Josie nie uwierzy, że mogą być ze sobą szczęśliwi.

Poza tym wszystko było przygotowane. Zaręczynowy pierścionek bezpiecznie spoczywał w szufladzie. Plan był taki, że podczas przyjęcia z okazji otwarcia wystawy Will wyjdzie na środek sali, oznajmi wszem i wobec, że kocha Josie Harrington-Jones i poprosi ją o rękę.

Rozkładając na biurku Willą przyniesione dokumenty, Josie niechętnie nacisnęła przycisk włączający zapisy na automatycznej sekretarce. Po paru sekundach rozpoznała nagrany głos Jeffa, który mówił:

- Lordzie Radcliffe, pozwalam sobie dzwonić w sprawie, którą omawialiśmy parę dni temu. Chcę pana zapewnić, że mimo nalegań pewnego napalonego redaktora nie wypuszczam z rąk wiadomej fotografii. Więc proszę się nie martwić. - Jeff zamilkł na moment, po czym dodał: - A tak między nami, to jestem przekonany, że nasza wspólna znajoma nie zrobi z siebie tym razem widowiska.

Josie upuściła trzymane w rękach papiery.

Nie zrobi z siebie widowiska? Will namówił fotografa, by nie publikował zdjęcia, bo się bał, że go skompromituje?

Była tak wściekła, że w pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować. Gdyby tu był, udusiłabym go własnymi rękami, pomyślała.

W następnej chwili uświadomiła sobie, że Will poszedł na strych dojrzeć ostatnich przygotowań do wystawy, więc wypadła z gabinetu i pobiegła na górę.

Will akurat oglądał część wystawy poświęconą japońskiej zbroi.

- Wspaniale się prezentują, nie uważasz? - powiedział na jej widok, ale spostrzegłszy jej posępną minę, dodał szybko: - Co ci jest, Josie, czy coś się stało?

- Co ty przede mną ukrywasz? - zawołała.

Will zawahał się, a ona domyśliła się, że nie powie prawdy.

- Nic.

- Kłamiesz. Zawarłeś układ z tym bezczelnym fotografem. Nie zaprzeczaj. Wysłuchałam jego nagrania na automatycznej sekretarce. - Will próbował wziąć Josie za rękę, ale ją wyszarpnęła. - To ja od dziesięciu dni umieram ze strachu, przeglądając wszystkie szmatławce, a ty nie raczysz mi powiedzieć, że się z nim dogadałeś?

- Josie, to nie tak. Nie rozumiesz.

- Rozumiem, i to aż za dobrze. Nie ufasz mi, a nawet gorzej, wstydzisz się mnie. Nie chcesz, żeby ktoś się dowiedział, że coś nas łączy.

- Och nie, to nieprawda.

- To dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Will bezradnie pokręcił głową.

- Chciałbym ci to wytłumaczyć, ale nie mogę.

Josie zagryzła wargi, by się nie rozplakać. Nie da mu tej satysfakcji. Nie pokaże, jak bardzo ją zranił. Jest taki sam jak wszyscy. Chciałby ją przerobić, zmienić w kogoś, kim nie jest. A to jest po prostu niemożliwe.

- Nie jesteś wart stać tutaj, wśród pamiątek po Harrym. Po człowieku, który miał serce, wiedział, co się naprawdę w życiu liczy. A ty co? Dbasz tylko o to, żeby zasłużyć na dobrą opinię tych podłych zmijowatych Beaufortów!

- Nie, Josie, ja cię kocham. Źle mnie rozumiesz! - wykrzyknął zrozpaczony Will, rzucając się w jej kierunku.

- Nie zbliżaj się. Ale nie martw się. Ułatwię ci sytuację. Zniknę z twojego życia, nie będę cię kompromitować.

- Chcesz wyjechać? Teraz?

- Ze względu na Harry'ego zostanę do otwarcia wystawy, żeby dopilnować ostatnich przygotowań. Ale następnego dnia zabieram Hattie i wyjeżdżam.

- Gdyby nie była taka wściekła, malująca się na jego twarzy rozpacz złamałaby jej serce. - No dobrze, mówisz, że mnie kochasz. Więc dowiedz tego. Zejdź na dół, zadzwoń do pierwszego lepszego brukowca i powiedz im, że zamierzasz się ze mną związać.

- Josie, proszę cię. Chciałbym ci wszystko wytłumaczyć, ale nie mogę. Daj mi jeszcze trochę czasu.

A więc to tak. Jest dobra do całowania się po kątach, ale nie dość dobra na żonę. Przetykając łyzy, Josie odwróciła się, zbiegła ze schodów i popędziła do domu. Znalazłszy się w sypialni, spojrzała w lustro. Naprzeciw niej stała obca szatynka w białej, świeżo wyprasowanej bluzce, prostej spódniczce i w pantoflach na wysokim obcasie.

Dla niego zaczęła się tak ubierać, a on zakochał się w iluzji, nie w prawdziwej Josie, którą nigdy nie przestanie być. Królowa wróżek może ją swą ma-

giczną różyczką przemienić w księżniczkę, ale w głębi duszy księżniczka nie przestała być dawnym trollem.

Zrzuciwszy ubranie, od razu poczuła się lepiej. Zebrała je z podłogi, zaniosła do łazienki i wyrzuciła do kosza. Podniósłszy wzrok, zobaczyła leżącą na półce tubkę.

Najwyższy czas stać się na powrót sobą.

Will siedział zadumany w dawnym gabinecie Harry'ego. Przed nim stało na biurku małe aksamitne puzderko.

Nie pobiegł za Josie, ponieważ nie mógł spełnić jej żądania i ogłosić ich zaręczyn. Chcąc jej oszczędzić nowych przykrości, przyrzekł fotografowi wyłączone prawo do robienia zdjęć z oficjalnych zaręczyn. Gdyby zrobił to wcześniej, fatalne zdjęcie z ogrodu ukazałoby się w jednym z kolorowych magazynów i brukowa prasa zaczęłaby się na nowo rozpisywać o lady Daj-Daj, niwecząc wszystko, co w ostatnich latach Josie osiągnęła ciężką pracą.

Schował pudełeczko z powrotem do szuflady, nie tracąc nadziei, iż wkrótce będzie mu potrzebne.

Popatrzył na zegarek. Od chwili burzliwego spotkania na strychu upłynęły blisko trzy godziny. Może Josie zdążyła ochłonąć i uda mu się z nią porozmawiać. Czas wyruszyć na poszukiwania.

Znalazł Josie, o dziwo, w jej gabinecie, pracującą przy komputerze. Byłoby to niewątpliwie dobry znak, gdyby nie jej strój i ufarbowane na kolor wścieklej czerwieni włosy. Will w mgnieniu oka pojął sens tej demonstracji.

Słownymi argumentami nic nie działa.

Sala wyglądała imponująco. Po sprawdzeniu, czy wszystko jest przygotowane na przyjęcie po otwarciu wystawy, Josie wyruszyła na strych, który uległ wręcz magicznej przemianie. Pokryta wieloletnim kurzem podłoga zmie-

niła się w błyszczącą posadzkę, świeżo umyte okna jaśniały, a jedwabne, podparte słupkami sznury wyznaczały kierunek zwiedzania.

Za parę godzin strych zapełni się ludźmi, chciała więc po raz ostatni po-
być wśród pamiątek po Harrym, których nigdy więcej nie zobaczy.

Uśmiechnęła się smutno do swoich myśli. Oto ostatnia rzecz, jaką zdoła-
ła, a raczej ona i Will zdołali osiągnąć w Elmhurst Hall. I na tym ich partner-
stwo się skończy.

W ciągu ostatnich dni prawie go nie widywała. Spodziewała się, że bę-
dzie protestował, zaklinał, robił wiele szumu. On jednak najwyraźniej jej uni-
kał.

No tak, rozmyślił się, ale ponieważ jest dżentelmenem, nie wypada mu
zerwać pierwszemu. Aby tego uniknąć, pozwoli jej po prostu wyjechać.

No, dosyć wspomnień. Zbiegła na dół i wyszła do ogrodu. Należy się jej
ostatni spacer na swobodzie przed powrotem do klatki rodzinnego domu. Było
to smutne, ale w obecnej chwili na nic innego nie mogła sobie pozwolić.

Wyszedłszy na taras, przystanąła, chłonąc wzrokiem widok parku i ogra-
dów. Jakiś człowiek szedł alejką prowadzącą do pałacu. Wyglądałby jak Will,
gdyby nie dziwnie kolorowa plama na jego głowie.

O rany! Przecież to czapka, którą sama zrobiła mu kiedyś na drutach, i
której nigdy nie włożył.

- Will!

Spojrząwszy w jej kierunku, Will zaczął się oddalać i po chwili znikł w
ogrodowym labiryncie.

Josie pobiegła za nim. Niebawem ujrzała go siedzącego na ławce pod
drzewem.

- Will?

Na dźwięk jej głosu zerwał się na równe nogi.

- Josie!

- Dlaczego mnie unikasz? - zapytała.

Will naciągnął kolorową czapkę niżej na czoło.

- Ja tylko... Porozmawiamy później, na przyjęciu - wybąkał, wstał i znowu odszedł.

Josie pobiegła za nim.

- Will!

Zwolnił kroku, ale nadal się oddalał.

- Ja też chcę z tobą porozmawiać. Naprawdę - powiedział, odwracając się. - Ale musimy z tym poczekać do przyjęcia. Wtedy wszystko zrozumiesz.

Ona jednak nie chciała czekać.

- Włożyłeś moją czapkę. - Czapkę, którą dostał od niej. To musi coś znaczyć. Odruchowo wyciągnęła rękę, chcąc usunąć niewykończony koniec włóczki, i czapka przekrzywiła mu się na głowie. - Och, Will, coś ty z siebie zrobił! - Pociągnęła mocniej i czapka została jej w ręce. Will patrzył na nią z miną przyłapanego na gorącym uczynku chłopca. - Gdzie się podziały twoje piękne włosy!

- Są teraz różowe.

Kochany głuptas! Śmiejąc się i płacząc na zmianę, zaczęła okrywać jego twarz pocałunkami.

- Co ci przyszło do głowy? Nie możesz się w tym stanie pokazać na wernisażu!

- Zrobiłem to dla ciebie - odparł, tuląc Josie do piersi. - Żeby ci pokazać, jak bardzo cię kocham i że zrobię wszystko, żebyś uwierzyła w moją miłość. Chciałem wystąpić na przyjęciu i publicznie poprosić cię o rękę.

- Ależ ja byłam tupa!

- Oj tak! - przytaknął z lekkim chichotem.

Josie patrzyła na niego. Jaki on mądry, myślała. Znalazł najprostszy sposób na to, aby ją przekonać. Doskonale rozumiała, dlaczego Ufarbował sobie włosy, a także, jak wiele był gotów dla niej poświęcić.

Nie może mu jednak na to pozwolić.

- Nie możesz się tak pokazać. Zrobiłbyś z siebie pośmiewisko. Nigdy by ci tego nie zapomnieli.

- Zaryzykuję, bylebyś uwierzyła w moją miłość.

- Już uwierzyłam - odrzekła, całując go. - A teraz idziemy do mnie, trzeba doprowadzić cię do porządku. Zostało mi jeszcze trochę farby.

- Chcesz mnie przemalować na czerwono?

- Lordzie Radcliffe, proszę sobie nie dowcipkować. Ufarbuję ci włosy na ciemny kasztan. Jeśli chcesz, mogę i swoje ufarbować na ten sam kolor.

- Ja się poddam. Ale ty, jeśli wolisz, możesz zostać z czerwonymi włosami - odparł z uśmiechem.

Naciągnęła mu z powrotem czapkę na głowę.

- Jakoś chyba polubię kasztanowy kolor, ale najpierw zajmę się tobą. Nie pozwolę zniszczyć tego, co do tej pory zdołaliśmy osiągnąć. I bez tego zawsze będę ci wierzyć.

- À propos zawsze. - Wyciągnął z kieszeni aksamitne puzderko. - Przepraszam, ale jeszcze nie ułożyłem sobie, co mam przy tym powiedzieć.

Josie mocno zabiło serce. Drżącymi ze wzruszenia palcami otworzyła pudełeczko.

- Skąd wiedziałeś, że uwielbiam opale?

- Mienia się tysiącem barw. Pomyślałem sobie, że pierścionek z opalem nigdy ci się nie znudzi.

EPILOG

Okrywająca gałęzie drzew warstwa białego śniegu nadawała pałacowemu ogrodowi magiczny wygląd.

Josie oparła się z westchnieniem o tors Willa, który objął ją i pogłaskał po wypukłym brzuszku. Od pewnego czasu jej płaszcz nie dopinał się w pasie.

Hattie wbiegała i wybiegała spomiędzy drzew, pozostawiając za sobą na śniegu ślady drobnych stóp.

Po swoim ślubie, który wzięli zeszłej jesieni, Josie i Will urządzili w Elmhurst Hall skromne weselne przyjęcie z udziałem rodziny i najbliższych przyjaciół. Will zrobił, jednak wszystkim niespodziankę, osnuwając gałęzie drzew niezliczonymi sznurami białych światełek. Nawet matka Josie pochwaliła jego pomysł. Po zapadnięciu zmierzchu drzewa wyglądały jak obsypane wiosennymi kwiatami.

Josie znowu westchnęła, kładąc dłonie na rękach Willa. Will nagle podskoczył.

- Poczulaś to? On kopie!

- Oczywiście, że poczułam, zwłaszcza że trafił mnie w pęcherz - odparła ze śmiechem. - Ale powiedz mi wreszcie, po co wyciągnąłeś mnie na dwór w takie zimno.

- Spójrz tam! - powiedział, wskazując odległą część ogrodu.

- Co to, nowe sadzonki?

Wyzwoliwszy się z jego ramion, wolnym krokiem ruszyła ku miejscu, w którym pojawił się rząd nieznanych jej dotąd sadzonek. Powiodła ostrożnie palcami po korze jednej z nich.

- Wiem, że obiecałeś sobie postępować mniej konwencjonalnie i być bardziej spontanicznym, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego zasadziłeś nowe jabłoni. Przecież w sadzie mamy wiele jabłoni.

- To taki tajemny symbol początku naszej wspólnej historii w Elmhurst - odparł z uśmiechem Will. - Który ma mi ponadto przypominać, że wprawdzie od pewnego czasu wyglądasz na pozór jak każdy z nas, ale w środku pozostaniesz na zawsze cudownie nieprzewidywalna.

- Niby jak mają ci o tym przypominać?

Will roześmiał się, biorąc ją ponownie w objęcia.

- Bo to bardzo szczególna odmiana jabłoni. Krzyżówka lady Williams z golden delicious.

Josie przyjrzała mu się uważnie, unosząc brwi.

- Jak się nazywa ta odmiana?

- Różowa dama.

